Nr. 35 (1079). Warszawa, dnia 18 (31) Sierpnia 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Wojna w Afryce.

Jeszcze wojna! Dwa lata miną wkrótce od jej wypowiedzenia. Jeżeli po d. 11 października 1899 r., po pierwszych doniesieniach z placu boju, można było wątpić o zmożeniu Boerów przez Anglię, to po nieszczęśliwej bitwie Cronjego pod Paadebergiem d. 27 lutego 1900 r. nie wątpił już nikt, że wojna potrwa najdłużej pół roku, aby zakończyć się ostatecznie tryumfem Anglii. Dzielność ludu osadniczego z wiary tej nie zostawiła nic więcej prócz obawy, że nieszczęśliwy ten lud może ostatecznie uledz, mimo swego zadziwiającego, mało podobnych sobie mającego męztwa i wytrwałości. Kiedy się bierze pod uwagę materyalne siły obu stron, stosunek ich, graniczący z nieprawdopodobieństwem — przeraża; logika wyrównywać go pozwala tylko siłą moralną, nie w państwie jednoczącem wszystkich, ale w każdej zosobna jednostce ludzkiej złożoną. Niema może świetniejszego widoku nad tę garstkę, która już nie w ogóle swego obywatelstwa, ale wprost w arytmetycznej swej sumie, zaledwie dolicza się miliona, a od dwóch lat już opiera się potężnemu mocarstwu, w którego krainach słońce nie zachodzi, które mięśniową swą siłę wyraża 500,000 mil kwadr. geogr. i 380 milionami ludności — jeżeli zsumujemy wszystko, co do Anglii w różnym stopniu zwartości i zespolenia należy. Nawet bez Indyj, bez kolonij ludna, bogata, przemysłowo i ekonomicznie wysoko stojąca, w 40-milionową ludność i olbrzymią flotę zasobna Anglia musiała się wydawać przeciwnikiem strasznym, dla którego pół roku aż nadto wystarczy do powalenia, do zmiażdżenia zuchwałych republik boerskich.

Od tego „pół roku" minął już rok, a rzeczypospolite nie powalone, choć militarnie w znacznej części opanowane, stoją jak stały — na fundamencie serc swych obywateli. Rząd przeniósł się do obozów, stolica zniknęła, ale nie zniknęło ognisko woli zbiorowej, nie ustało poczucie i obrona wspólnego bytu. Anglia—rzeczywistość wygląda tu jak baśń czarodziejska — wyprowadziła trzykroć sto tysięcy wojska przeciwko jakim dziewięciu kroć stu tysiącom ogółu ludności obu rzeczypospolitych. Jeden z jej generałów naczelnych postradał — dobre imię, okazał się wodzem nieudolnym; drugi rozporządzenia niezmiernie proste, na które zdobyłby się i dobry sierżant, podawał za cuda mądrości i więcej zdziałał jako paradier, niż jako wódz; trzeci wreszcie, który teraz jeszcze sławę imienia angielskiego po Afryce roznosi i „dobrych jej praw" broni, nie mogąc sobie poradzić orężem, radzi sobie proklamacyami. A Boerowie wciąż walczą, jak walczyli; nie lękają się ani oręża, ani proklamacyj; są wszędzie, nieujęci nigdzie, rozbici na jednym punkcie ukazują się na innych; jednej nawet drogi żelaznej nie zostawiają bezpiecznej; niszczą co mogą, jeśli nie kulą, to oskardami i młotem. Żaden garnizon angielski nie ma nocy spokojnej; w samej Pretoryi Kitchener rwać się do oręża musiał, aby podsuwających się nieprzyjaciół odpędzić. I tak ta wojna, która miała się na jesieni 1900 r. skończyć, doczeka się prawdopodobnie jeszcze wiosny 1902 r.

Chybionym zupełnie środkiem skrócenia jej była proklamacya Kitchenera z d. 7 b. m. Ukazała tylko srogość, nic przyniesie korzyści. W proklamacyi tej wódz angielski wychodzi z faktu przyłączenia obu rzeczypospolitych do posiadłości J. Kr. Mości— czyli z ogłoszonego na wiosnę r. b. jednostronnego aktu rządu angielskiego. Trzydzieści pięć tysięcy Boerów poddać się miało dotychczas rządowi J. Kr. Mości. Zapewne są to starsi farmerzy, żony, siostry i dzieci walczących; a nawet poddawanie się nagle zaskoczonych lub przysięganie na wierność, wydobywane z jeńców, nie może tu mieć najmniejszego znaczenia. Mówi dalej Kitchener, że ci, co się nie poddali, nie posiadając prawidłowej organizacyi wojennej, nie są zdolni do prowadzenia wojny prawidłowej. Prowadzą też nieprawidłową i za nią odpowiadać powinni. Ponieważ tedy sprawiedliwem jest występowanie przeciwko nim, zwłaszcza przeciwko tym, którzy, zajmując stanowiska wpływowe, podtrzymują „beznadziejny opór"— przeto on, Kitchener, przeciwko nim występuje i zapowiada, że wszyscy komendanci, korneci polni i przewódcy „band zbrojnych," oraz wszyscy członkowie rządów obu rzeczypospolitych, o ile nie poddadzą się do d. 15 września, będą raz na zawsze wygnani z Afryki południowej. Ktokolwiek dowodzi „bandą," nawet czterotysięczną, uznany będzie za herszta rozbójników i, rzecz prosta, samo wygnanie już dla niego nie wystarczy. Przyjaciel ludzkości troszczy się o utrzymanie niewinnych rodzin winowajców i lękając się dla nich głodu, konfiskuje ruchome i nieruchome majątki ściganych. Do 15 września wszyscy i więksi i mniejsi, kto żyw, poddać się musi. Ciężkie słowo.

Nic sobie z niego Boerowie nie robią. Po pierwszej proklamacyi o złożenie broni był skutek, choć niewielki i przeważnie ze strony niewalczących; po tej niema go dotychczas wcale i wcale go już nie będzie. Kto odrazu nie zmiękł w sierpniu, ten już twardości swej nie utraci przez dwa tygo-

dnie września. Mógł był Kitchener wszystkich uznać za herszt.ów, wszystkich skazać na wygnanie, wszystkich wyjąć z pod prawa — ustawić szeregiem i rozstrzelać lub powywieszać, nic zyskałby nic, nie złamałby dusz — i bodaj czy większa jeszcze groza, większe okrucieństwo, nie wywołałoby i silniejszego uporu i oporu. Jest męztwo nadziei i jest męztwo rozpaczy. Jest ruch wszczynający się dopiero i ruch już nabyty. Wojna, wojowanie przeradza się w nałóg, w organiczną potrzebę. Ręka przyrasta do karabina, do pałasza i oderwać się od niego nie daje. Zaczynając, szli z Bogiem po za sobą, w którego wierzyli, kończąc, idą z Bogiem w sobie, którego w piersiach swoich czują. W tej potędze wyższej nad wolę, nad rozsądek, nad przywiązanie do siebie, zbiegają się wszystkie promienie obowiązku, miłości—i bezdennego bólu z utraty najwyższego dobra, jakie człowiek na tej ziemi mieć może. A w takiem męztwie rozpaczy tleje może iskra nadziei. Może ta Europa, która przez dwa lata przyglądała się walce tak nierównej a tak dla słabych zaszczytnej, nareszcie znajdzie się pod takiem mechanicznem czysto działaniem wzajemnie krzyżujących się interesów, żądz i zawiści, że w końcu drgnie w niej coś jakby ujęcie się, jakby dyplomatyczna interwencya, choćby najskromniejsza, ale zdolna Anglię w jej zamysłach powstrzymać. Po całym tym dwuletnim flircie z Anglią może nareszcie zabłyśnie uśmiech z Europy prawowitym panom rozbójniczo napadniętego kraju. Sami skazawszy się na śmierć, może tą cieniuchną niteczką nadziei utrzymają jeszcze związek swój z życiem. *The rest is silence.*

Tydzień polityczny. Najważniejszą wiadomością jest bliski, na początku września, zjazd w Gdańsku. Ma tam przyjechać król Edward VII-y. Dzienniki wróżą poruszenie sprawy Transwalu i Oranii. W tej sprawie Krüger napisał protestacyę przeciwko proklamacyi Kitchenera: miano ją doręczyć d. 23 lub 24 wszystkim rządom z konferencyi w Hadze. Rozumieć to potrzeba tak, że protestacya doręczona będzie urzędowi stałemu w Hadze dla wszystkich mocarstw na protokóle głównym podpisanych, z wyjątkiem, oczywiście, Anglii. Dużo wrzawy robił w tych czasach pomysł pana profesora prawa w Paryżu, Beauregarda, aby Boerowie uzbroili kilka statków korsarskich i niszczyli handel Anglii. Pan profesor zapomniał, że Boerowie nie mają morza; i nie uświadamia sobie dostatecznie tych pobudek, które korsarstwu politycznemu przewodniczyć muszą. Transwal nie podpisał aktu paryskiego, bo go wówczas jeszcze nie było, ale nie podpisałby go, gdyby nawet w r. 1856 już był, bo nie ma morza. Zapowiadają jakąś protestacyę Holandyi, ale dopiero po upływie fatalnego terminu 15-go września. Kto na takie terminy czeka, ten nic nie zrobi. Holandya współczuje z rodakami, ale boi się Anglii.

Ogromne manewry francuskie będą wielkim wypadkiem.

Sprawy bałkańskie niepokoją wszystkich sąsiadów. Pomiędzy prasą włoską a austryacką zaczyna się kłótnia o Albanię — sprzymierzeńcy! Ks. Ferdynand miał podobno zaniechać zamiaru prześladowania Macedończyków, pozwala dalej istnieć potężnemu patryotycznemu związkowi na ziemi bułgarskiej. W nowo wybranym komitecie niema już Sarafowa, ale są nawet oficerowie czynni. Sarafow ma założyć nowy związek. Wróżono mu śmierć cywilną wskutek maczania rąk we wspólnych publicznych funduszach. Fakt jest niewątpliwy, ale w Bułgaryi widocznie takie są fakta *minoris momenti*; tam, jeżeli mąż polityczny cudze pieniądze włoży do własnej kieszeni, to tylko przez pomyłkę, i dalej mężem politycznym być może.

W Galicyi komitet centralny układa i ogłasza swoje listy. Wszystko po dawnemu. Ruch wyborczy jest dotychczas wogóle słaby. Demokracya i postęp, prawdziwego ideowego ogniska i rzetelnego przewodnictwa pozbawione, marnieją w szarlataneryi lub szale. Wielka własność po dawnemu upaja się własną wielkością i chce żyć, myśleć, chcieć, działać za wszystkich, z patentem na wyłączną mądrość i pracę obywatelską. Smutnym objawem jest omdlenie tak jędrnych już żywiołów ludowych. Najlepiej z nich korzysta Stojałowski — zły duch Galicyi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

„Znasz li ten kraj?“

Ongi, gdyśmy wymawiali te słowa, przychodziły nam na myśl kwitnące cytryny, wiecznie uśmiechnięty lazur niebios, miłość i szczęście; dziś, dziwna rzecz, na wspomnienie o Włoszech dusza nasza rozbrzmiewa smutkiem, a przed wzrokiem przesuwają się zgłodniałe twarze, oczy pałające ogniem bezgranicznej rozpaczy, postacie obdarte, nędzne i napół dzikie.

Nie zamierzamy tu dawać obrazu niedoli włoskiej, lecz chcielibyśmy przedstawić tylko wrażenie, jakie wyniósł Anglik, Edward Strutt, z obserwacyj swych nad życiem chłopa włoskiego. Autor, który ogłosił swe sensacyjne dane w *The Monthly Review*, nie należy do społecznych oskarżycieli; ze słów jego przemawia tylko człowiek przeciętnie humanitarny, a pomimo to jego artykuł sprawia wrażenie czegoś nieprawdopodobnego. Przedewszystkiem charakteryzuje nędzę włoską fakt, iż najbardziej rozpanoszyła się ona w prowincyach, których warunki klimatyczne najwięcej sprzyjałyby dobrobytowi ludzkiemu. Sardynia, Sycylia, Kalabrya i Apulia są widownią i siedliskiem nieustannego głodu. Nadto Piemont i Lombardya, okolice ekonomicznie najwyżej postawione, najgorzej opłacają siłę ludzką. To już nasuwa myśl, iż rdzeń klęski tkwi w nienormalnych warunkach społecznych. Ludzie, którzy pracują na polach ryżu od rana do póżnego wieczora, wchłaniając jadowite wyziewy gruntu błotnistego, pobierają płacę dzienną, odpowiadającą 25 kopiejkom. Organizmy wyczerpane pracą i niedostatecznie odżywiane stają się doskonałym żerem dla epidemii zwanej pellagrą i rokrocznie układającej hekatomby z trupów ludzkich. Tak się dzieje w prowincyach, zaliczanych do najbardziej kwitnących. A cóż dopiero w Sardynii, zwanej

---

Jan Schlaf.

Sprawiedliwość.

(Z niemieckiego).

Ebelt osłupiały, nieprzytomny siedział bez ruchu w swoim kącie, i spoglądał to na starą babę, to na jegomościa w letnim paltocie, którzy uprzejmie rozmawiali między sobą.

Nakoniec po wielu skrętach i zawrotach wóz stanął. Otworzono drzwiczki i kazano wysiadać. Weszli do wielkiego budynku wzniesionego jak zamek z czerwonej cegły.

A potem do izby wielkiej jak hala, której niski sufit wspierał się na czarnych, żelaznych słupach. Blade światło płomieni gazowych słabo rozjaśniało ciemności.

Z małego pokoiku wprowadzono ich za drewnianą kratę do tej sali, gdzie w głębi, aż do najmniejszego zakątka stały szeregiem niskie tapczany, a na nich leżał tłum czarnych, wstrętnych, złą woń wydających, postaci ludzkich.

W sali panowała cisza. Tylko gdzieniegdzie, ktoś na brzegu tapczana siedział i z sąsiadem swoim rozmawiał. Chrapano na wszystkie strony, stękano, zębami zgrzytano, ten i ów przez sen mówił, tu ręka, tam noga była w ruchu, owdzie ktoś, przewracając się z trudem, wpół siadał na posłaniu, w świetle gazu ukazując rozespaną twarz hultaja. Przy jednym ze słupów siedział skulony na ziemi jakiś człowiek stary z powykręcanemi, w szmaty obwiniętemi nogami i jęczał, stękał — może cierpiał, a może tylko udawał.

Ebelt siadł na tapczanie i siedział wyprostowany, palcami zwolna przebierając i z nieprzytomnym uśmiechem rozglądając się dokoła.

Bezwiednie wzniósł oczy w górę ku maleńkiemu, zakratowanemu okienku pod samym dachem, gdzie sinawy brzask już zaglądał.

Nie pojmował, co się z nim działo, gdzie się znajdował i jak się to wszystko skończyć miało. Duszę jego ogarnęła jakaś martwota pełna grozy. Wiedział tylko, że jest w więzieniu, w więzieniu po raz pierwszy w życiu, że się zbezcześcił, popadł w upodlenie i sromotę. Miał takie wrażenie, jak gdyby gruba warstwa, wżerającego się brudu obejmowała go i dusiła.

Bezdomny! A tak, istotnie, od dwóch nocy nie miał dachu nad głową; nie pracował!

Boże wielki! cóż to się z nim działo?

Przerażonym wzrokiem wodził po otaczającym go ciemnym tłumie ludzkich postaci.

Żebracy, włóczęgi, złodzieje, pijacy, bezdomni — największa nędza, wszyscy najnieszczęśliwsi, same szumowiny wielkiego miasta!

I on z nimi, wyrzucony na sam brzeg!

Mgłą zaszłe oczy wpatrywały się uporczywie w siny skrawek bladego światła pod dachem, rękami przesuwał zwolna po nogach, szczękami ruszał, a w gardle go dusiło.

I znowu odżyło w nim wspomnienie nieboszczki żony. O takiejże godzinie świtania zgasła w ramionach jego, w takiż chłodny, mroźny poranek, w nędznej izdebce, na sienniku pod brudnem, wytartem nakryciem. I słyszał jej ostatnie szeptem wypowiedziane słowo:—„Ojcze!“

A była taką dobrą, dzielną kobietą. Więc za co spadło na niego to nieszczęście?

Jednocześnie budziły się inne wspomnienia z dobrych czasów skromnej jego zamożności i z onych dni, kiedy to cios po ciosie zaczął spadać na jego barki. I tu nagle zrobiło mu się jasno w głowie: — Sprawiedliwość! — Więc gdzież jest na świecie sprawiedliwość?

Ten w zacnej pracy posiwiały, w całem życiu niepokalanie uczciwy i prawy człowiek siedział oto w tym przybytku nędzy, występku i spodlenia, jak gdyby na nic lepszego nie zasłużył. I śmiał się cichym, krótkim śmiechem. A myśl jego przywarła do tego słowa: „sprawiedliwość,“ ręce zaciskały się kurczowo, muskuły wyprężały.

Sprawiedliwość!

W przedsionku zaczął się ruch. Strażacy wchodzili, urzędnicy wychodzili z papierami. Rozmawiano i naradzano się. Przez drzwi otwarte wpadały do wnętrza

pasierbicą Włoch i podlegającej rocznie 5 tysiącom subhastacyj tytułem zaległych podatków!

Prawdziwym kopciuszkiem jednak wśród wszystkich prowincyj włoskich jest Apulia. W r. 1898 działy się tam sceny, które wywołały upadek ministeryum Rudiniego, wskutek czego odbiły się głośnem echem w prasie europejskiej. Od tego czasu stosunki nie zmieniły się ani na jotę, zwłaszcza od kiedy drzewa oliwkowe, będące niegdyś źródłem dostatku w tej okolicy, stały się pastwą okrutnego pasorzyta, zwanego *musca olearia*. Jakaś rezygnacya i letarg opanowały ludność miejscową, znaną ze swej pracowitości i wstrzemięźliwości. W istocie zwykły pokarm tych nędzarzy stanowi zupa kukurydzowa bez soli; od czasu do czasu zastępują ją pieczone kasztany lub groch; chleb jadają tylko nababowie. Głód jest tu stałem, chronicznem i, że się tak wyrażę, normalnem zjawiskiem. Jakie rozmiary przybiera katastrofa, niechaj świadczy następujący wypadek. Pewien właściciel małego majątku wynajął sześciu parobków do uprawy pola kukurydzowego. Jakież było jednak jego zdziwienie, gdy przybywszy nazajutrz na miejsce robót, zastał zamiast swych 6 najmitów, 60 mężczyzn i kobiet. Gdy dziedzic zrobił uwagę ludziom, iż napróżno pracują, albowiem, zgodnie z najmem, zapłaci tylko sześciu osobom, intruzi uspokoili go, zapewniając, iż nie żądają żadnego wynagrodzenia i z góry zamierzali podzielić pomiędzy siebie 60 scudi zarobionych przez sześciu ich szczęśliwych kolegów. W ten sposób uda się zapobiedz śmierci głodowej kilkunastu rodzin. W drugiej miejscowości wdarło się pewnego dnia do winnicy 30 chłopów i zaczęło pracować na własną rękę, nie pytając o zgodę gospodarza. Gdy ten zagroził im policyą, upadli do nóg jego, oświadczając gotowość pracowania za całodzienną pensyę, równającą się 10 kopiejkom! Te opłakane stosunki wytworzyły grunt dla przestępstw, popełnianych regularnie jedynie w celu dostania się do więzienia, w którem ustają troski o kawałek chleba, a raczej niesoloną zupę kukurydzową i komorne. Strutt opowiada między innymi taki wstrząsający wypadek: Trzy kobiety oskarżone o rozmyślne ścinanie drzew oliwkowych, obudziły tak dalece litość sędziego, iż wbrew przepisom prawnym skazał je na trzy dni więzienia. Podsądne, usłyszawszy wyrok, zaczęły z płaczem ściskać kolana jego, błagając o trzymiesięczny przytułek w więzieniu. Zupełnie otwarcie wyznały mu, iż przestępstwo popełniły w oczekiwaniu nadchodzącej zimy. Plan przekroczenia wypracował im adwokat, gwarantując 3 miesiące więzienia. A tymczasem ta urocza *fata morgana*, nęcąca łóżkami i kołdrami, zupami i chlebem, rozwiała się! Ponieważ nieboraczki w żaden sposób nie chciały uznać słuszności wyroku, więc wywiązała się polemika pomiędzy sędzią a podsądnemi, która skończyła się ich porażką. Zanosząc się od płaczu, opuściły gmach sądowy w oczekiwaniu zimna, głodu i prostytucyi. Łatwo się domyślić, iż jak wszędzie, tak i tu w środowisku nędzy zagnieździł się nierząd, w okolicach, o których mowa, istnieje on w postaci średniowiecznego przywileju *jus primae noctis!* Zbyteczna dodawać, że nędzy i zbrodni towarzyszy lichwa. Przybrała ona tu odrębne i potworne formy, nieznane nawet w innych klasycznych krajach wyzysku kapitału pożyczkowego. A ponieważ zdemoralizowana i przekupna biurokracya — vide Crispi!—zgnilizna, przegryzająca włoskie sfery urzędowe aż do szpiku kości i wreszcie przynależność do trójprzymierza w imię zasady *noblesse oblige* — obarczają naród prawdziwym Pelionem i Ossą niesłychanych podatków, to cóż dziwnego, iż piwnice banku neapolitańskiego są przepełnione zastawionymi tam klejnotami, które niegdyś przyozdabiały rękojeście krzyżaków włoskich lub świeciły na szyjach dam nadwornych za Fryderyka II. Lud jednak śpiewa po staremu swą piosenkę:

O Neapolu, o cudny kraju,
Kto cię nie widział, ten nie zna raju...

H.

CO CZYTA LUD ZA GRANICĄ.

Są tacy—że tu wymienię np. Mohikanów dogorywającego nietzscheanizmu—co mierzą poziom kultury wysokością szczytów. Według zapatrywań tego „duchowego arystokratyzmu" tylko treść umysłowa najwybitniejszych jednostek społeczeństwa jest decydującym czynnikiem cywilizacyi ludzkiej. Wielka szara masa ludu nie figuruje w remanencie postępu ludzkości. Oczywiście odmienne stanowisko należy zająć, jeśli na biegunie przeciwległym będziemy wychodzili z założenia, iż lud stanowi ową „skałę, na której oprze się kościół przyszłości." Wtedy kwestya, co się dzieje w duszy ludu, jakie w niej nurtują potrzeby i pragnienia, jakie pokutują tam instynkty, błąkają się przesądy, lub świtają zapatrywania—kwestya ta staje się jedną z najbardziej podstawowych pod względem społecznym. Ileż to wysiłków i prób oświaty poszło na marne, lub chybiło pierwotnego celu jedynie dlatego, iż chciano oddziaływać na warstwy, których psychikę lekceważono? Ileż programów politycznych prysnęło jak bańki mydlane wskutek tego, iż narzucano gwałtem ludowi teorye i dążenia, obce składowi jego umysłu. A tymczasem na pytanie, czem jest współczesny lud „sam w sobie," nie znajdujemy w literaturze europejskiej zgoła odpowiedzi. Dziwna rzecz, iż w tym oceanie literatury społecznej, aż do ostatnich czasów prawie nie potrącano nawet o to zagadnienie. Niemcy, które piszą i rozprawiają o wszystkiem, o rzeczach nawet drobiazgowo śmiesznych i to nie nie stanowią pod tym względem wyjątku. Dopiero teraz podjęto się trudu zapuszczenia kilku promieni rentgenowskich w ciemnicę duszy pracującego ludu.

Jeden ze światlejszych pastorów niemieckich, nazwiskiem Pfannkuche, postawił sobie za zadanie na zasadzie lektury ludu miejskiego stwierdzić, nad jakiemi kwestyami łamie sobie głowę, jakim rodzajom literatury oddaje pierwszeństwo i kto są jego ulubieni pisarze. Rzecz oczywista, iż w praktyce należało ścieśnić nieco ramki, tak szeroko zakreślonych badań. Współczesne warstwy pracujące stanowią bowiem państwo w państwie z własną bardzo złożoną hierarchią ekonomiczno-społeczną, a każdy szczebel tej drabiny jest znowu odrębnym światem, w którego głąb nie przeniknął dotychczas żaden podróżnik lub misyonarz społeczny. Pfannkuche poprzestał zatem na śmietance warstw pracujących czyli sferze zorganizo-

---

jasne promienie słońca, zaćmiewając blask płomieni gazowych.

Tapczany poruszyły się także. Podnosiły się głowy, rozlegały ziewania, tu i owdzie zaczynano już wstawać, żartować. Dwaj ludzie wnieśli wielki, blaszany, dymiący kubeł, miski i chleb. Oczyszczono jeden tapczan i postawiono na nim kubeł, i chleb, naczynia rozdano i zaczęto rozlewać kawę ranną.

Dokoła kubła powstał ścisk, popychanie i kłótnia. Urzędnicy pilnowali porządku. Potem każdy przykucnął, gdzie mógł i jadł z chlipaniem i szelestem pracujących szczęk.

* *

Około południa wypuszczono go na wolność, na świeże, wiosenne powietrze.

Stał przed dworcem kolejowym na placu Aleksandra i patrzał na pociągi wchodzące i wychodzące, na tłumy dążące w różnych kierunkach; stał przez chwilę oszołomiony, potem poszedł za innymi, ale jakiś onieśmielony i niepewny.

Ledwie mógł utrzymać się na nogach. A w mózgu wirowała mu jedna tylko, jedyna myśl gryząca: sprawiedliwość!

Owładnęło nim głuche, obłąkane uczucie bezprzedmiotowego, cicho nurtującego gniewu, od którego zaciskały mu się w kieszeniach pięści, mięśnie naprężały się i drgały, a z ust wyrywał się chrapliwy krótki śmiech.

Dusić! dusić! Lecz kogo?

Za to, że mu umarło sześcioro dzieci, że konie wyzdychały, że żona suchot dostała, że człowieka smagać będzie jak bydlę niedola!

Dlaczego? bo był za dobry i za głupi. Tak, do wszystkich dyabłów: za dobry i za głupi.

I zdawało mu się, że jakaś zasłona z oczu mu spadła, że śmiech szyderczy brzmiał mu nad uchem. Więc i on śmiał się także, stał i śmiał się głośno, dziko...

Nagle drgnął, oblany żarem palącego wstydu, z takiem uczuciem jak gdyby ze wszech stron w twarz mu napluto; i wszystko, co w nim żyło, kipiało, wrzało, zbiegło się w jedną dziką, niepowstrzymaną nienawiść do bezlitosnego przeznaczenia, które mogło tak naigrawać się z niego deptać po nim. I to czuł jeszcze, że on musi się z kimś zmierzyć, na kimś się zemścić, kogoś zabić... tak, kogoś zabić...

Pienił się, zęby zaciskał, ogarnięty ślepą wściekłością, jak ten, który, nóż w garść chwyciwszy, do walki z innym na śmierć i życie się gotuje.

Głowę w ramiona wtuliwszy, szedł wolno, z ukosa spoglądając na przechodzących: zdawało mu się że na wszystkich twarzach widzi szyderstwo, naigrawanie chłodne, bezlitosne.

Wczoraj na moście stał chwilę i przechylony przez poręcz patrzył w wodę i myślał, czyby nie najlepiej było tam, w głębi tej rzeki skończyć ze wszystkiem. Co go jednak tak bezzasadnie od tego kroku powstrzymało?

Jak ostatnia, niczem niezatarta sromota spadła na niego ta noc spędzona w policyjnem przytulisku, między najgorszem tatałajstwem.

I te oczy tego tajemniczego przeciwnika, tej istoty, w którą się wcieliły wszystkie niepojęte losy całego jego życia, tego bezlitosnego, chłodnego szydercy, który w tych wszystkich zaczął mu się objawiać, co się obok niego przesuwali—to były oczy jego wroga śmiertelnego.

Z rozdrażnienia, niecierpliwości i gniewu począł płakać!

* * *

Tak błąkał się przez dzień cały, aż pod wieczór znalazł się znowu w północnej dzielnicy.

Ręce wetknął w kieszenie, i bawiąc się nożem składanym, stał przed świeżo postawionym domem. Ludzie schodzili z rusztowania i przez wielką, ciemną bramę wydostawszy się na ulicę, osypani pyłem ceglanym, szli, każdy w swoją stronę, do domu. Ten i ów jednak wstępował przedtem jeszcze do piwiarni na rogu na szklaneczkę piwa, cygaro i pogawędkę.

Bezwiednie postępując za innymi, wszedł tam i Ebelt, usiadł w kąciku i kazał sobie swoją buteleczkę napełnić wódką.

Odrazu wypił jej całą połowę, po trosze z zakłopotania, że się wśród tych ludzi w takiem położeniu znajdował. Lecz wódka, dostawszy się w większej ilości do pustego żołądka, zaczęła działać, gwałtownie budząc poprzednie rozdrażnienie.

wanej za pomocą stowarzyszeń fachowych. Wypracowawszy szczegółowy kwestyonaryusz, rozesłał go do bibliotek robotniczych, stowarzyszeń zawodowych i związków stowarzyszeniowych, robotniczych stowarzyszeń samokształcenia, stowarzyszeń wyborczych (tz. Wahlvereine) i wreszcie bibliotek fabrycznych. Oprócz tego, posługiwał się sprawozdaniami rocznemi bibliotek ludowych. Przedewszystkiem wyszło na jaw, iż czytelnie ludowe starego pokroju, a więc te, które traktują lud jako dzieciaka, lub indywiduum nierozwinięte, lubujące się w utworach naiwnych, ubogich artystycznie, stylowo i pod względem treści, postradały do szczętu swą popularność. Tylko księgozbiory urządzone w stylu amerykańskim, zawierające zatem literaturę rozmaitą zarówno co do treści jak formy, apelujące tak do czytelnika najmniej wybrednego, jak do smakoszów literacko - naukowych, mogą oddać usługi ogółowi czytającemu i liczyć na poparcie klas nieposiadających. Wskutek tego np. biblioteki fabryczne, ułożone w sposób tendencyjny, nie cieszą się powodzeniem. Wyjątek stanowią księgozbiory znanego przemysłowca Freesego. Fabrykant ten, jakeśmy pisali o tem szczegółowiej w *Ekonomiście* (r. 1900), jest twórcą tz. systemu konstytucyonalnego w fabryce. Wszelkie sprawy wewnętrzne jego zakładów przemysłowych, wszelkie materye dotyczące stosunku zawodowców do pracowników, są załatwiane przez komisyę, obieraną z pośród samych pracowników. Właścicielowi zakładu przysługuje tylko prawo stawiania *veto* w wypadkach donioślejszych. Jest to aparat bardzo pomysłowo zbudowany i działający dotychczas doskonale, ku zadowoleniu stron zainteresowanych. Otóż biblioteki fabryczne Freesego znajdują się również pod zarządem i nadzorem wyżej wspomnianej komisyi, która pochodząc z łona personelu roboczego, jest doskonale poinformowana o jego potrzebach i smaku i wskutek tego może układać jadłospis literacki.

Po za tem okazało się, iż wzrost i zmalenie czytelnictwa jest odbiciem rozmaitych warunków społecznych. Tak np. rozwój życia politycznego oraz rozkwit ruchu stowarzyszeniowego i zawodowego w ostatnich latach pochłania niekiedy najlepsze siły sfer pracujących i robi poważne szczerby w zastępach najinteligentniejszych czytelników. Za to idące równolegle z ruchem tym polepszenie warunków pracy przysparza księgozbiorom nowych czytelników. Tak np. jedno z drezdeńskich stowarzyszeń zawodowych pisze: „Czas nie pozwala dziś wyrobnikowi na zwiedzanie bibliotek. Zmęczony pracą, rzuca się na swe łóżko, aby odpocząć. Trzeba jednak przyznać, iż zaszła zmiana na lepsze. Od 1886 do 1896 r. nie wypożyczono z biblioteki naszej dziewiątej części książek, wydanych w 1896 i 1897 r. Od 1896 r. mianowicie w fachu naszym płaca wzrosła o 10 fenigów od godziny, a czas roboczy o godzinę skrócono."

Nic dziwnego zatem, iż na pytanie Pfankucha, jaka grupa ujawnia największe zamiłowanie do lektury i oświaty, odpowiedź jest następująca: Ci wyrobnicy, którzy pobierają największy zarobek oraz mają dużo wolnego czasu do czytania. W tych kołach można nawet napotkać osoby, które kosztem wielkich ofiar nabywają własną bibliotekę.

Kogo i co czyta współczesny lud miejski? Na pierwsze pytanie odpowiedzieć bardzo łatwo. Lud ma bowiem tych samych ulubieńców, co warstwa zamożna. Mody, panujące „u góry," przenikają wcześniej lub później do dołu. Wogóle na punkcie umysłowym proces endosmosu odbywa się obecnie daleko szybciej, niż przed laty 30. Nie dziwmy się zatem, że wśród faworytów ludu napotykamy takie nazwiska jak Zola, Hauptman, Suderman i Tołstoj. Nie zawsze jednak decyduje wartość artystyczna. Niekiedy treść i społeczna doniosłość roztrząsanych tematów wpływają na popularność dzieła. Tu należy słynna antimilitarystyczna powieść apostoła pokoju, pani Suttnerowej pt. „Złóżcie oręż" („Die Waffen nider.")

Nadzwyczaj ciekawie przedstawia się pozycya rodzajów ulubionej lektury. Naprzód uderza, iż najmniej pociąga dział polityczny, jakkolwiek jest najbogaciej wyposażony. To upośledzenie literatury politycznej tłomaczy się najprawdopodobniej wybujaniem prasy politycznej. Rozpowszechnienie dzienników i poświęcenie lwiej części ich szpalt sprawom politycznym odstręcza, rzecz prosta, od większych dzieł tej samej treści. Zadziwia jednak, iż wtedy, kiedy w obozie społecznym toczyły się zaciekłe spory programowe nad kwestyą agrarną, odnośne broszury i prace, wbrew swej „aktualności," nie cieszyły się bynajmniej większą poczytnością.

Największa wziętość atoli przypada w udziale pracom z historyi kultury, dziełom o wojnach chłopskich i Wielkiej Francuskiej Religii, oraz treści przyrodoznawczej.

Wspomniane działy wszakże prześciga literatura religijno-filozoficzna. Statystyka odnośna pokazuje niezaprzeczenie, iż wyrobnik niemiecki nie przeszedł jeszcze do porządku dziennego nad tematami, dotyczącymi ostatecznych zagadnień wiedzy i filozofii. Fakt to ze wszech miar godny uwagi, iż klasa społeczna, która walczy o swe stanowisko, suszy sobie głowę więcej nad kwestyami oderwanemi, sięgającemi aż do głębi wszechbytu, niż nad praktycznemi sprawami życia materyalnego.

Tak przedstawia się wynik ankiety dr. Pfannkucha. Obok całego szeregu wniosków, które wypływają z przytoczonych danych, można zdaje się uznać, jako niezaprzeczoną prawdę, iż szerząc oświatę wśród ludu, należy się stosować do jego własnych upodobań i skłonności. Biblioteki ludowe na lądzie europejskim przeoczały dotychczas ten fakt i tylko amerykanie zrozumieli, iż chcąc wpływać na „maluczkich," powinniśmy szanować ich odrębność i indywidualne pierwiastki psychologiczne, a przedewszystkiem traktować jako nam równych.

W Niemczech zrobiono już kilka prób, opartych na tej zasadzie. Słynny magnat przemysłowy, Krupp, urządził w swych zakładach czytelnię „ludową" podług wzorów amerykańskich. Jest ona „ludową" w nawiasie, albowiem trudno przyzwyczaić się do myśli, że człowiekowi prostemu daje się te same rzeczy do czytania, co przedstawicielom inteligencyi. Pomimo to, a raczej dla tego właśnie rezultaty pomysłu są świetne. Sprawozdanie biblioteki Kruppa świadczy np. iż 40-tomowa historya powszechna Onckena była wypożyczoną w przeciągu roku około 500 razy. Literatura o Transwaalu była wciąż w czytaniu, 111 tomów klasyków greckich i rzymskich w wydawnictwie Langen-

---

Siedział więc, spoglądając z pode łba na otaczających, którzy przy małych stolikach pili, palili, śmiali się, gawędzili i w karty grali.

A on wciąż siedział, palcami bębnił z cicha po stole, pluł przed siebie, nogami w takt przytupywał i podejrzliwie wodził wzrokiem po wszystkich, jak gdyby czyhając na ruch jakiś, na słowo, które go obrazić mogło.

Ale nikt na niego uwagi nie zwracał.

Tak upłynęła dobra chwila, gdy drzwi się otwarzyły i nowy gość wszedł do izby.

Był to mężczyzna niewielkiego wzrostu w jasnem ubraniu mularza, blondyn z twarzą zaokrągloną, różową i małemi błyszczącemi, czarnemi oczkami.

Ebelt podniósł oczy i utkwił je w nowoprzybyłym.

Znał go. To był Brecht, mularz, z którym dawniej miewał częste stosunki; wówczas, kiedy był jeszcze właścicielem interesu przewozowego, kiedy go zapraszał i sam od niego przyjmował poczęstunki.

Brecht zobaczył go też i poznał zaraz. Stanął i pełen zdumienia przypatrywał mu się.

Przez jedno mgnienie Ebelt twarz odwrócił, pragnąc nie być zauważonym, lecz zaraz potem wpił się źrenicami w wesołe małemi oczkami błyskające, oblicze mularza. Jego widok zaczynał go dziwnie drażnić.

Tak chwilę wpatrywali się w siebie, aż w końcu Brecht zbliżył się do jego stołu.

— No—wyrzekł, siadając—Ebelt Skądże wy się tu wzięli?

Ebelt zaśmiał się, prawie tak, jak dawniej—swoim dobrodusznym, cichym, nieśmiałym śmiechem; lecz nic nie odpowiedział. Siedział tylko bez ruchu, zgarbiony, ręce przed sobą na stole położył, i zmrużywszy oczy, patrzył wprost w twarz Brechta.

W duszy jednak dźwięczało mu wciąż jeszcze: „Skąd że wy się tu wzięli?" Czuł się do głębi dotkniętym i obrażonym, nawet tym ruchem napozór obojętnym, z jakim mularz zwrócił się do bufetu i skrzeczącym głosem o piwo i cygara zawołał. Ebelt zaczął oddychać prędko i ciężko, jak gdyby go coś dusiło, i paznogciami jednej ręki drapał zwolna drugą.

— Hm — mruknął Brecht, poprawiając się na siedzeniu, i szyderczy, zuchwały wzrok swych czarnych oczu znowu na niego zwracając.—Cóż my tu właściwie robimy?—I ziewnął mu prosto w twarz.

Ebelt zaczął poruszać szczękami i połykać ślinę, a w oczach i całej postawie jego pojawił się jakiś dziwnie nieśmiały, jakby błagalny wyraz.

Przyniesiono piwo i cygara. Brecht, nie pytając, kazał także podać dla Ebelta; i, szeroko rozłożywszy się na stole, zaczął gadać. Tak, na świecie bywa czasami różnie. Tylko uszy zawsze do góry, a złe przechodzi często w dobre.

Postawiono zamówione piwo przed Ebeltem, lecz on go nie tknął i milczał, wzrokiem jak przygwożdżony do tej twarzy przed sobą.

— Ha! ha! ha! Jak człowiekowi się nie poszczęści!...—gadał Brecht. — I takiemu poczciwcowi z kościami jak Ebelt! No, ale przecież niech popyta, niech się zakrzątnie. Przy budowie nie brak teraz roboty, a wszędzie rąk potrzebują, niema więc najmniejszej wątpliwości, że Ebelt zajęcie dostanie, a on, Brecht, co będzie mógł, dla niego zrobi. No, i tak dalej i tak dalej...

Ebelt drgnął zlekka, prawą rękę podniósł i zwolna w kieszeń zapuścił, lecz śmiał się cichym, obłąkanym śmiechem, i głową kiwał, jak gdyby przytwierdzał temu, co Brecht mówił.

A ten uprzejmie dalej żartował. Niechże mu wreszcie Ebelt opowie, jak do tego przyszło.

Nagle—błysk ostry—krzyk jeden, krótki, zdławiony—i Brecht zwalił się z krzesłem na ziemię.

W izbie powstał zamęt. Gospodarz wypadł z za bufetu, goście cisnęli się dokoła stołu. Brecht leżał, ani drgnął. Ebelt ugodził go w samo serce.

I stał tam także; rękami wsparł się o stół, oczy przymrużył i, wpatrzony w ciało zabitego, śmiał się, śmiał się i śmiał się.

KONIEC.

schcidta przechodzi przez 700 rąk rocznie. W literaturze pięknej pierwszeństwo mieli romantycy oraz nowocześni koryfeusze. A tymczasem korzystali z biblioteki przeważnie robotnicy i podrostki. Rozmowy, które prowadził bibliotekarz z członkami biblioteki o wypożyczonych książkach, utrwaliły go w przekonaniu, iż rzeczy zostały gruntownie przetrawione. Wypożyczono w przeciągu pierwszego roku ogółem 100 tysięcy dzieł.

Odpowiedź na pytanie, umieszczone w nagłówku, możemy sformułować tak: lud za granicą czytuje z zamiłowaniem prace najpoważniejsze i utwory najbardziej artystyczne, o ile mu są przystępne. Mamy przed sobą nie dziecko dorosłe o ograniczonym widnokręgu umysłowym i niewyrobionym smaku, lecz głodomora duchowego, łaknącego rzeczy głębokich i pięknych. *F.*



PAMIĘTNIK

Święcenie „tężyzny."

Pisma nasze lubią wszelkiego rodzaju rocznice i jubileusze, pozwalające o ludziach lub instytucyach, cieszących się pewną popularnością, powtarzać od czasu do czasu garść oklepanych frazesów i wylewać z ich powodu określoną z góry dozę rozrzewnienia i zachwytu, przechowywanych zwykle w stanie rozwodnionym w urzędowych łzawnicach redakcyjnych. Gdy te bengalskie ognie sztucznych zapałów, udanych wzruszeń i kutych na zimno frazesów rozniecane bywają na cześć ludzi istotnej zasługi, niezłomnych zasad lub potężnego talentu, to ostatecznie można nie mieć nic przeciw poglądowi, uznającemu ich potrzebę lub nawet konieczność. Zdarzają się jednak wypadki, kiedy dla organów prasy, nieogarniętych rozpowszechnioną u nas kołowacizną przesądnego uwielbienia dla wszystkiego, co pachnie „tężyzną" staroszlachecką, nieuniknionym wprost staje się protest przeciw nadmiarowi bałwochwalczych kadzideł przed posągami ludzi, których poważna i bezstronna krytyka wyrzuciła już dawno z panteonu narodowych wielkości.

Jedną taką postacią, z której powodu zużyto już u nas niepotrzebnie całe beczki atramentu i wielopudowe stosy papieru, jest znany ogólnie pamiętnikarz z XVII wieku, Jan Chryzostom z Gosławic Pasek. Wysuwany w swoim czasie, za panowania reakcyi szlacheckiej, na czoło niemal naszych pisarzów okresu po-zygmuntowskiego, skurczył się bardzo niebawem pod skalpelem niezależnej krytyki i utracił prędko cały niemal ów blask niezasłużony, który jego imię otaczał.

Lecz pewna kategorya urzędowych chwalców pozostaje u nas głuchą na wyniki badań naukowych, gdy zwłaszcza czuje za sobą nieladajaką powagę — hrabiego Stanisława Tarnowskiego. Że w panu hrabi takie postacie, jak Pasek, wzbudzają uwielbienie i zachwyt, to chyba rzecz naturalna: od tego się jest hrabią Tarnowskim i przytem profesorem w Krakowie, by lekceważyć Goszczyńskich i Słowackich, a wynosić pod niebiosa Pasków i Trembeckich. Że jednak pisma, cieszące się dziś ze sposobności, a raczej — jak się poprawia *Kuryer warszawski* — *z rozkoszy*, którą im nastręczyła przypuszczalna dwóchsetna rocznica zgonu Paska — przypomnienia sobie postaci, „jednej z najlubieńszych, jakie w swym Panteonie znakomitości literackich (!) posiada nasze piśmiennictwo," oparły swe zachwyty i uniesienia na poglądzie hr. Tarnowskiego, nie od rzeczy może będzie przypomnieć wyborny artykuł o tym samym pamiętnikarzu szlacheckim, pomieszczony przed paru laty w *Prawdzie* przez prof. A. G. Bema.

Zwróciwszy uwagę na ciemnotę, warcholstwo, brak uczuć humanitarnych, giętkość sumienia i inne pokrewne cechy charakteru imci pana Jana Chryzostoma, zasłużony krytyk, o ile pamiętam, mówi wręcz, że niektóre ustępy pamiętników Paska, w rodzaju np. humorystycznego opisu smutnych zajść podczas elekcyi Michała Korybuta, wywierają poprostu przygnębiające wrażenie bezmyślnego śmiechu syna idyoty na pogrzebie matki." Ale my dziś, po latach dwustu, gotowi jesteśmy takiemu właśnie człowiekowi stawiać pomniki na szpaltach czasopism — za to głównie, że tak pięknie swą postacią i działalnością zilustrował społeczeństwo nasze w chwili największego upadku... Powód, istotnie, równie przekonywający, jak cała ta logika ludzi, narzucających się wciąż na przewodników i wyrazicieli społeczeństwa, które się do nich przyznawać nie chce. *Wł. B.*

Nauka i loterya.

Zastępy stroskanych rodziców oblegają teraz kancelarye gimnazyalne, z biciem serca nadsłuchując, czy na liście przyjętych znajduje się ich dziecko.

Jakaś matka łzy gorzkie połyka! Nie rozumiem, co to znaczy — mówi drżącym ze wzruszenia głosem — mój chłopiec był tutaj we wstępnej klasie, miał same czwórki na egzaminie i nie dostał się do klasy pierwszej.

— Jest kandydatem — tłomaczy sekretarz.

— Kandydatem?— powtarza matka.

— Klasa wstępna to właściwie nie żadna klasa — mówi poważnie urzędnik; — dzieci przygotowują się w niej, jak gdyby w szkole prywatnej, do gimnazyum i kurs rozpoczyna się rzeczywiście dopiero w klasie pierwszej; musimy więc dopuszczać do egzaminów zarówno naszych młodziutkich wychowańców, jak i dzieci przygotowane w domu i z pomiędzy wszystkich kandydatów do pierwszej klasy przyjmujemy tych, co zdali najlepiej, gdyż, jak pani wiadomo, liczba miejsc jest ograniczoną.

— Ależ mój Czesio zdał na same czwórki! — woła z dumą matka.

— To nic nie znaczy — odpowiada z zimną krwią sekretarz — takich, co otrzymali same czwórki, mamy czterdziestu; oprócz tego jest ze czterdziestu ze stopniami celującymi i bardzo dobrymi; ci więc mają pierwszeństwo przed synkiem pani.

— Więc Czesio nie dostał promocyi?

— Niema dziś promocyi do pierwszej klasy, są tylko kandydaci z klasy wstępnej i z nauczania prywatnego.

W parę dni potem matka przychodzi raz jeszcze do gimnazyum po ostateczny rezultat i wybucha płaczem. Czesio pozostał i nadal kandydatem, bo miał tylko czwórki; miejsca w klasie pierwszej zajęli szczęśliwcy, którym udało się otrzymać średni stopień wyższy.

Czyż wobec tego nie byłoby lepiej skasować t. zw. klasy wstępne, których dawniej nie było wcale, a lokale zajęte na nie obrócić na równoległe oddziały klasy pierwszej? Dzieci skorzystałyby na tem niezawodnie, bo spędziłyby mniej o cały rok w ciasnych murach szkolnych, a co ważniejsza, nie dowiedziałyby się za wcześnie, że dostanie się do gimnazyum zależy od pewnego rodzaju loteryi, boć jest nią niezaprzeczenie dla każdego dziecka, nawet dobrze przygotowanego, egzamin wstępny. Rodzicom zaś oszczędzonoby przykrych niespodzianek. Taką samą, tylko poważniejszą loteryą, od której zależy zwykle los całego życia ludzkiego, są egzaminy konkurencyjne do politechniki i innych wyższych zakładów naukowych specyalnych. Znamy młodzieńców, którzy odrazu posyłają prośby do dwóch, a nawet trzech zakładów naukowych, licząc na to, że nie wszędzie egzaminy odbywają się równocześnie i że można je składać w paru miejscowościach. Młodzieńcy mają nadzieję, że jeżeli nie zdadzą do instytutu technologicznego, to powiedzie się lepiej na egzaminach konkursowych do instytutu inżenierów cywilnych dróg i komunikacyj, elektrotechnicznego lub górniczego. I często nadzieje te ziszczają się. Ot, los poszczęścił — powiada taki szczęśliwiec — wyciągnąłem łatwe pytanie, byłem przytem zdrów, a w instytucie X. odpadłem, bo właśnie miałem migrenę z niewyspania się. Takie szukanie szczęścia tłomaczy nam nawał próśb, otrzymywanych przez kancelarye zakładów naukowych. Jesteśmy przekonani, że gdyby zniesiono egzaminy konkurencyjne a wybierano poprostu tych kandydatów, którzy z pewnych przedmiotów mają na patencie gimnazyalnym najlepsze stopnie, to bombardowanie instytutów prośbami zmalałoby, a młodzież nie denerwowałaby się przedwcześnie egzaminami. Jak dalece takie współubieganie się podkopuje zdrowie fizyczne i poniekąd moralne, wiedzą tylko rodzice. Rzucamy te spostrzeżenia, bo wobec wprowadzenia w życie reformy szkolnej, są one na czasie.

Stowarzyszenia spożywcze.

Po stowarzyszeniu spożywczem „Ziarno" powstaje w Łodzi drugie pod nazwą „Pomoc." Na członków przyjmowani będą pracownicy fabryczni z Łodzi. Każdy członek opłaca wpisowe, nieprzewyższające 3 rb. i udział nie wyższy nad 10 rb. Celem nowej instytucyi będzie: dostarczanie członkom po cenie możliwie najniższej, albo też według średnich cen targowych — różnych produktów spożywczych i przedmiotów użytku codziennego; ułatwianie członkom robienia oszczędności z dochodów, osiągniętych przez obroty stowarzyszenia. Ma ono prawo: urządzać lub wynajmować składy i zakłady do przygotowywania, przechowywania i sprzedaży produktów spożywczych i przedmiotów codziennej potrzeby; zawierać umowy i przyjmować wszelkie zobowiązania względem osób trzecich i instytucyj na dostawy dla niej wszelkiego rodzaju produktów spożywczych i przedmiotów użytku domowego, jak również środków pieniężnych, niezbędnych dla obrotów stowarzyszenia. Dalej: nabywać nieruchomości, brać udział w różnych przedsięwzięciach itd. Powstaje tedy w kraju coraz więcej stowarzyszeń spożywczych, które świadczą o wzrastającym w tym zakresie ruchu dodatnim na prowincyi. Dotąd wszakże powstawanie tych stowarzyszeń jest przygodne i nierównomierne, gdyż zależało to od inicyatywy jednostek rzutkich i energicznych. Obecnie jednak, gdy powstaje w kraju coraz więcej różnych ognisk życia ekonomicznego, jak towarzystw, syndykatów rolniczych, inicyatywa i organizacya w tym zakresie mogłyby przybrać formę stałą. Trzeba tylko, ażeby owe ogniska zechciały tę sprawę traktować na seryo.

Jubileusz pedagoga.

Od szumnych owacyj i uroczystych obchodów, urządzanych w wielkich miastach przy lada sposobności ludziom, których główna zasługa polega na umiejętności zdobycia pewnej liczby wpływowych przyjaciół, dziwnie sympatycznie odbija wiadomość o skromnym, lecz istotnie zasłużonym jubileuszu, którym na dalekiej prowincyi, w starożytnym Sandomierzu, nagrodzona została pożyteczna praca, nieskazitelna prawość charakteru i prawdzi-

we ukochania mozolnych obowiązków — zasłużonego nauczyciela matematyki w progimnazyum sandomierskiem, prof. Jana Kauna.

Kilkudziesięciu byłych uczniów tego cichego pracownika na niwie pedagogicznej zapragnęło wyrazić mu wdzięczność i uznanie za dwadzieścia pięć lat niezmordowanej pracy, za gorące serce dla młodzieży, za budzenie w niej uczuć szlachetnych — i uczyniło to bez huku i hałasu, w sposób prosty, szczery, serdeczny.

O ile przeciwni jesteśmy przesadnym owacyom jubileuszowym, tak częstym zwłaszcza w naszym światku literacko-dziennikarskim, o tyle cieszy nas zawsze fakt uczczenia istotnej, choć dla szerszego ogółu ukrytej zasługi — i to przez tych, którzy dla takiego skromnego a prawdziwie pożytecznego pracownika zaciągnęli w zaraniu życia trudny do spłacenia dług wdzięczności. *wb.*

Ksiądz przed sądem.

D. 20 b. m. we Lwowie sąd karny rozstrzygnął niezwykły i bardzo sensacyjny proces. Na ławie oskarżonych zasiadł kanonik obrz. orm., ks. Jan Mardyrosiewicz, pod zarzutem ciężkich przestępstw: fałszerstwa, przywłaszczenia i roztrwonienia sum znacznych instytucyi finansowej. Przyjrzyjmy się tej postaci, według głównych szczegółów aktu oskarżenia. Ks. Mardyrosiewicz, wyświęcony w r. 1880 na kapłana, cieszył się nadzwyczajnymi względami nieżyjącego już dziś arcybiskupa Issakowicza, „który widział w nim przyszłą podporę kościoła ormianskiego." W dziewiątym roku kapłaństwa ks. M. został już kanonikiem katedralnym i zarazem w starożytnym lombardzie ormiańskim „Pius mons" pierwszym dyrektorem i ocenicielem z płacą 2,000 koron rocznie, dodatkowo do poborów kanonicznych z osobnym funduszem na pokrycie możliwych strat bankowych. Wkrótce zdołał sobie zaskarbić powszechne zaufanie i sympatyę, a nawet stał się osobą wybitną w mieście. „Człowiek rzutki i młody, tysiące interesów równocześnie załatwiał, tysiączne uprawiał przedsiębiorstwa, a wśród nich uchodził nietylko za sumiennego i bystrego finansistę, ale i za jednego z Krezusów lwowskich." Wszystkie instytucye lwowskie uważały jego podpis za pieniądz brzęczący. To też około „bogacza" tworzyło się coraz szersze koło wielbicieli i przyjaciół. Nikt nie wiedział i nie przeczuwał, że źródłem tej pozornej zamożności jest instytucya, powierzona jego zarządowi, że z niej czerpie pieniądze na wesołe życie i hulanki. W Banku panowały „idylliczne" stosunki. Na czele rady nadzorczej stał arcybiskup Issakowicz, człowiek, któremu przez całe życie nigdy na myśl nie przyszło, że ludzie mogą być nieuczciwymi, oszustami i niepeniami. Inni członkowie tej rady nie mieli najmniejszego pojęcia o bankowości. W instytucyi panował wszechwładnie ks. Mardyrosiewicz. Posiadał klucze od skarbca, bardzo często kazał pisać kartki zastawnicze, wypłacał pieniądze a nikt fantów nie widział i nie wiedział, jak one były zastawiane. Kanonik wpisywał zmyślone nazwiska, a gdy potem kasyer wywoływał je celem wypłacenia kwoty, ksiądz kazał sobie pieniądze kłaść na biurku. Nieistniejące zastawy były pierwszem i najważniejszem źródłem jego dochodów; drugiem — zastawianie fantów w innych bankach. Ks. M. posiadał pewne kosztowności, które razem były warte około 3,000 złr. Przedmioty te zastawiał za sumę kilkakroć przewyższającą ich wartość, a w kilka dni „wykupywał" je, naturalnie nie zapłaciwszy ani centa. Prócz tego niewykupione zastawy nabywał sam, bez żadnej licytacyi; po wykupieniu zaś zastawu przez klienta, oddawał mu go uczciwie, ale pieniądze za ten przedmiot zatrzymywał u siebie. Wreszcie znajomym swoim i przyjaciołom, zwłaszcza przyjaciółkom, pożyczał nieraz bardzo wysokie sumy na zastawy zupełnie bezwartościowe. „Słowem, był rakiem, który toczył starożytny „Pius mons," był jego klątwą i pijawką." Poukładane pudełka w skarbcu w znacznej części były puste, zastawy zaś „bujały sobie po świecie, nieraz zdobiły szyje i piersi nadobnych jego przyjaciółek i towarzyszek biesiad i hulanek nocnych." Takie życie kanonika zwróciło uwagę powszechną. Wskutek rozmaitych doniesień zarządzono dwukrotnie rewizyę, ale nic szczególnego nie wykryto. Ksiądz umiał się wytłomaczyć, zwłaszcza przed arcybiskupem dobrodusznym i nieobeznanym ze sprawami. W końcu jednak zaczęły się wydawać nadużycia, które ks. M. nazwał „stratami," spowodowanemi „spadkiem srebra," jako wynikiem „nowej waluty." Kanonik usiłował ratować się rozmaitemi przedsiębiorstwami: naftą, oświetleniem Lwowa, spółką blacharską itd., spółką z zegarmistrzem, polegającą na tem, że zegarmistrz zastawiał w banku zegary za sumy przekraczające ich wartość. W ten sposób na szkodę banku ormiańskiego ks. M. stracił 289,517 koron. Ostatecznie wyrzuty sumienia położyły kres wszystkiemu. W chwili, kiedy komisya rewizyjna znalazła wszystko „w jak największym porządku," ks Mardyrosiewicz poszedł do prokuratora i wyznał wszystko. Jak jednak umiał zaskarbić powszechne zaufanie i szacunek, świadczy ta okoliczność, że nawet prokurator na razie nie uwierzył i będąc pewnym, że ma przed sobą człowieka niespełna zmysłów, radził mu się uspokoić. Zdawałoby się, że za takie ciężkie i różnorodne przestępstwa, popełniane z planem i rozmysłem przez wiele lat, spadnie na przestępcę surowa kara, pomimo jego skruchy. Tymczasem sąd skazał go tylko na osiem miesięcy zwyczajnego więzienia! Obok tej szczególnej łagodności dla człowieka, do którego ze względu na stanowisko społeczne i wykształcenie powinna być stosowana możliwie najsurowsza miara, cała ta sprawa księdza nasuwa pytanie, czy jest rzeczą właściwą powierzać osobom duchownym interesy finansowe? Pomijając już to, że narzucanie takich obowiązków sługom kościoła, z którego Chrystus wypędzał kupczących, wyrządza wielką szkodę głównym zadaniom tych ludzi — widzimy z przykładu powyższego, że jest to bardzo pochyła droga dla charakterów słabych. Upadek jednostki jest tu jeszcze niczem wobec fatalnego wpływu takich wypadków na uczucia i wrażenia mas wierzących.

Zabawy ludowe

Nowoje Wremia w korespondencyi z Warszawy podało przykład, który bardzo dobitnie charakteryzuje znaczenie zabaw ludowych, powstałych na tle monopolu i kuratoryów trzeźwości. „Niedawno mieliśmy sposobność być na koncercie robotników i robotnic w tutejszym składzie skarbowego monopolu wódki. Jeden z urzędników składu, A. W. Nasonow, stworzył orkiestrę i chór, w którym robotnicy i robotnice wzięli chętnie udział. Odegrano utwory kompozytorów cudzoziemskich, rosyjskich i polskich. Za oknami tłumy ludzi słuchają: „Już ja złoto chronię, chronię" i t. p., z taką samą uwagą, jak i polskich pieśni. Przykład pouczający dla tutejszego kuratoryum trzeźwości, które wygnało wszystko, co rosyjskie, z urządzanych przez się zabaw ludowych. A przecież w Warszawie jest mnóstwo żołnierzy rosyjskich, są i robotnicy Rosyanie, a pieśń rosyjska, która może pomódz sprawie rosyjsko-polskiego zbliżenia się śród ludu, znana jest wielu Polakom z czasów służby wojskowej..."

Mieszkania stróżów.

Nietylko Warszawa słynie z nor ohydnych, przeznaczonych na mieszkanie dla stróżów. Dzieje się to samo, a nawet może gorzej, w miastach prowincyonalnych, gdzie niechlujstwo, brud, wyziewy rozpanoszyły się na dobre bez przeszkód. Zobaczmy, jak wyglądają te mieszkania w Płocku, według opisu *Ech płockich i łomżyńskich*: „Są to zwykle ciemne nory, bardzo często bez okien, położone w bliskości ustępów. Nory te są nieraz tak małe, że ledwie łóżko może się pomieścić." Mieszkania takie, jak zapewnia organ miejscowy, po wsiach przeznaczają dla nierogacizny, i to w dobrach niezamożnych. A przecież r. z. utworzono w Płocku komisyę wyłącznie celem zbadania i zrewidowania mieszkań stróżów. Co ona dotąd zrobiła i co zbadała, niewiadomo. To tylko pewna, że tego rodzaju „ciała zbiorowe" są zazwyczaj straszydłem, ale na stare i doświadczone wróble. Kto wie, czy takie komisye zamiast pożytku, nie przynoszą nawet szkody, gdyż usypiają tylko opinię publiczną i osłabiają jej nacisk na tych, którzy lekceważą zdrowie i życie ludzkie, gwoli własnej kieszeni.

BADANIA NAUKOWE

JAK POWSTAŁY PIENIĄDZE?

Ludoznawstwo, które od pewnego czasu wywołało już znaczny wpływ na socyologię i historyę, zaczyna też rzucać coraz więcej światła na gospodarstwo pierwotne. Powstała specyalna dziedzina etnologiczno-ekonomiczna, w której jednym z najzasłużeńszych badaczy jest H. Schurtz. Mamy przed sobą ostatnią jego pracę *), na której zasadzie chcemy przedstawić w ogólnych zarysach historyę powstania pieniędzy.

Jasnem jest z góry, że o powstaniu pieniędzy u ludów pierwotnych może być mowa o tyle tylko, o ile obok pierwotnego komunizmu rozwinęła się już własność prywatna. Rozwojowi jednak tej własności dotychczas mało stosunkowo poświęcono badań, jeżeli nie będziemy liczyli prac, poświęconych rozwojowi prawa własności na ziemię; ta ostatnia zaś własność rozwija się najpóźniej. Prócz tego badacze wychodzą zwykle z błędnego założenia, że człowiek pierwotny w masie własności komunistycznej wyodrębnia przedewszystkiem rzeczy *użyteczne*, które też najpierw weszły jakoby w sferę własności prywatnej. Stąd wyrodziły się błędne pojęcia o pieniądzach pierwotnych, jako o wartościach przedewszystkiem użytecznych. Faktycznie jednak rzecz miała się zupełnie odwrotnie. Przedmioty praktycznego użytku i przedewszystkiem środki żywności najpóźniej w drodze rozwoju ludzkiego przechodzą w sferę własności prywatnej. Według człowieka pierwotnego, każdy ma prawo korzystania w równej mierze przedewszystkiem z rzeczy użytecznych.

Pierwszą rzeczą, którą człowiek uznaje świadomie za swą własność, jest jego ciało, dalej, wszystko, co zmienia lub upiększa ciało; wreszcie rzeczy, które jednostka może zmienić według swego upodobania, na które może przelać część swej indywidualności — stanowią początek własności indywidualnej. Grzebień drewniany, który człowiek sobie wystrugał i we włosy wsadził, narzędzia i broń, którym nadał pewną formę, a w nich odbił część własnego jestestwa — są to rzeczy, do których

*) „Grundriss einer Entstehungsgeschichte des Geldes," von H. Schurtz. (Beitrage zur Volks- und Völkerkunde, V Band). Weimar, Verlag von Emil Felber, 1898.

ma inne prawo, aniżeli do owocu, zerwanego z drzewa, lub do zwierzyny przez siebie upolowanej. Gdy do ostatnich ma prawo "nietylko ten, co je zdobył, lecz i wszyscy inni, do pierwszych tylko ten, co je na swój sposób urobił. Dlatego też rzeczy, służące do upiększenia ciała, jak wogóle wszystkie *ozdoby*, najpierw stają się własnością prywatną.

To, co człowiek pierwotny według swego gustu przerobił i w ten sposób wyodrębnił z własności komunistycznej, jako swą własność prywatną, ma wartość przedewszystkiem dla niego samego, jako rzecz niezwykła, niemająca nic wspólnego z celem i użytecznością samej rzeczy. Wartość tej rzeczy zależy zarówno od indywidualnej oceny jej właściciela, jak i od sądu współtowarzyszów, którzy wprawdzie nie roszczą sobie prawa do niej, lecz oceną swą przyczyniają się do nadania jej wartości. Jeżeli ktoś stworzy ozdobę z muszli, to nie w tym tylko celu, aby napawać nią własne oczy, lecz pragnie również wywołać zazdrość współtowarzyszów, lub zadowolenie kobiet—i jeżeli mu się to uda, to ozdoba nabiera wysokiej wartości. W ten sposób wartość własności indywidualnej w jej początkach zależy najbardziej od sądu współtowarzyszów plemiennych, i rzecz wartościowa staje się przeto przedmiotem pożądań wszystkich. Wtedy powstaje pewna wymiana własności, za pomocą darowizny, kradzieży lub zamiany. Ważniejszym jednak jest inny skutek, jaki wywołuje ocena powszechna, nadająca wartość danemu przedmiotowi. Jeżeli materyał, służący do wytworzenia danej ozdoby, znajduje się w dostatecznej ilości, wówczas każdy potrafi w tej samej formie stworzyć przez wszystkich pożądany przedmiot. Wtedy nie fantazya jednego, lecz konserwatywny sąd całego plemienia rozstrzyga o wartości. Niektóre rzeczy otrzymują tylko wartość chwilową, szybko znikającą, inne — zależnie od oceny powszechnej—nabierają wartości trwałej, dopóki nie zmienią się obyczaje i upodobania plemienia. W ten sposób masa rzeczy ozdobnych, zwłaszcza ozdoby ciała, stopniowo rozpadają się na dwie wielkie grupy: jedne obejmują rodzaje ozdób, ulegających zmiennym gustom, drugie zaś—ozdoby długotrwałych upodobań, niepodlegające chwilowej modzie, które stają się do pewnego stopnia stałą oznaką plemienia. Te ostatnie otrzymują stałą wartość i dzięki długotrwałej, jednakowej ocenie nabierają charakteru *miernika wartości* czyli *pieniędzy*.

A ponieważ są to przedmioty, ktorym tylko gust danego plemienia nadaje stałą wartość, ponieważ inne plemiona mają inne gusty i ozdoby, więc oczywiście rzeczy te są miernikiem wartości tylko w obrębie plemienia, lub kilku najwyżej pokrewnych, albo ceniących je jednakowo plemion, dla innych plemion rzeczy te nie mają żadnej wartości, po za granicami danego plemienia tracą charakter pieniężny, i dlatego Schurtz nazywa je *pieniędzmi wewnętrznymi* w odróżnieniu od pieniędzy *zewnętrznych*, przyjmowanych zarówno w obrębie danego plemienia, jak i po za jego granicami.

Z chwilą, gdy zaczyna się rozwój pieniędzy wewnętrznych, rozwija się jednocześnie pojęcie *bogactwa*. Nagromadzenie rzeczy użytecznych, ziemi, żywności itd., jest w społeczeństwie pierwotnem zarówno niemożliwe, jak niepotrzebne, wobec panującego na te rzeczy komunizmu. Natomiast nagromadzenie ozdób nie zna określonych granic, zwłaszcza u plemion osiadłych. Zawieszanie mnóstwa ozdób na sobie jest sposobem wywyższenia się, tembardziej uprawianym, że wkrótce okazuje się ich siła socyalna. Z chwilą, gdy powstaje pociąg do gromadzenia ozdób-pieniędzy, rozwój pieniężny nabiera silnej pobudki. Dzięki temu, że niektóre ozdoby są powszechnie cenione, powstaje możliwość otrzymania pomocy lub łaski innych za pośrednictwem podarunków. W tym samym zakresie działa obyczaj dawania okupu za narzeczoną, a jeszcze bardziej powstanie pierwotnych *podatków*. Należy tu rozumieć kary pieniężne, które prawie powszechnie powstają u plemion posiadających pieniądze wewnętrzne zamiast kar cielesnych. Dzięki tym karom pieniądze spływają do rąk przewódców plemion i są często ich jedynem źródłem bogactw. Tem się objaśnia, że często całe sądownictwo pierwotne, zdaje się mieć jedynie na celu wyciśnięcie z oskarżonych jaknajwięcej pieniędzy. Jednocześnie rośnie znaczenie przewódcy, rozwija się zwyczaj dawania mu stale podarunków w celu czynienia go łaskawszym, i w dalszym ciągu ze zwyczaju tego powstaje prawdziwe *opodatkowanie*. Jako środki płatnicze służą właśnie owe przedmioty własności prywatnej, ozdoby i inne, które są powszechnie cenione. W ten sposob, pod wpływem pieniędzy, zmieniają się stosunki wewnętrzne. Obok przewódcy powstają inne osoby, których łaskę lub pomoc okupić można, przedewszystkiem czarownik, leczący choroby, sprowadzający deszcz itd. Stary komunizm rozprzęga się, coraz więcej rzeczy wchodzi w obieg i posiadanie prywatne, pieniądze wewnętrzne coraz żywiej krążą w obrębie plemienia, chociaż po za jego obrębem nie mają żadnej wartości.

Typowe pieniądze wewnętrzne znajdumy w Melanezyi i Mikronezyi. Należą tu bardzo liczne rodzaje pieniędzy muszlowych; na szczególną zaś uwagę zasługują przedziwne rodzaje pieniędzy na Karolinach, które nie służą do handlu zewnętrznego, lecz używane są wyłącznie na niektórych tylko wyspach. Dopóki jednak każdy mógł tworzyć pieniądze w dowolnej ilości, nie było mowy o potędze bogaczow i przywódców. Potęga ta zjawia się tylko tam, gdzie pieniądze trudno wyrabiać. To też przy wielu rodzajach melanezyjskich muszli pieniężnych widzimy, że tam, gdzie istnieje ich połów i wyrób krążków pieniężnych, pieniądze te nie znajdują się w obiegu, lecz wywożone są jako artykuł handlowy na wyspy sąsiednie i tam dopiero wchodzą w obieg, jako pieniądze.

Charakterystykę pieniędzy wewnętrznych stanowi wartość, jaką nadaje im ogół plemienia, oraz trwałość, umożliwiająca ich nagromadzanie. Natomiast nie jest wymaganą ich lekkość (czyli łatwość przenoszenia z miejsca na miejsce) ani użyteczność: niewielka bowiem jest przestrzeń, na której posiadają wartość i wybór ich jest raczej rzeczą gustu i fantazyi, aniżeli praktycznej celowości. Wskutek tego spotykamy tak dziwne rodzaje pieniędzy wewnętrznych, jak np. kamienne na Karolinach; są to kawały arragonitu w formie kamieni młyńskich, ważące nieraz po centnarze i więcej. Ta ciężka forma pieniędzy staje się jednak przeszkodą w dalszym rozwoju stosunków wymiennych, tom bardziej, że masa tego bogactwa w rozmaitej formie wycofywaną jest z obiegu, bądź wskutek gromadzenia pieniędzy, bądź też z powodu rozmaitych obyczajów, jak np. grzebanie pieniędzy razem ze zwłokami ich właścicieli. Dzięki temu, obok dużych i drogocennych rodzajów pieniędzy powstają mniejsze i mniej wartościowe, przydatne dla drobniejszych celów wymiennych, podczas gdy duże, ciężkie pieniądze, jak owe arragonity, a zczasem bydło i niewolnicy, tylko w bardzo ważnych chwilach wchodzą w ruch wymienny. Do mniejszych celów służą rozmaite formy muszli, skorupy macicy perłowej, nawiązywane na nitce itd. Rozwój stosunków zewnętrznych bardziej jeszcze sprzyja powstaniu wielu rodzajów takich pieniędzy drobnych, które odgrywają również rolę naszej drobnej monety. Wieprz np. kosztuje mały kawałek kamienia pieniężnego i 20 skorup macicy perłowej.

Do tego samego jednak celu i wyłącznie dla potrzeb wewnątrz jednego plemienia służy powstanie *znaków pieniężnych*, których wzorem udoskonalonym są banknoty krajów cywilizowanych. Dla zrozumienia ich znaczenia wystarczy przypomnieć domy gry, w których marki zastępują pieniądze, dla większej dogodności. U ludów, odznaczających się szczególną namiętnością do gier, marki te zastąpić mogą w stosunkach miejscowych prawdziwą monetę. Marki porcelanowe, lakowe i fajansowe, używane w chińskich jaskiniach gry, krążą często w Indyach, jako drobna moneta. Zresztą, jeżeli głowa lub książę danego plemienia ma dość siły i wpływu, to może samowolnie stworzyć nowe środki płatnicze, w celu zastąpienia braku drobnej monety. Przykładu dostarcza historya. Na miejsce niedogodnych skór, które krążyły jako pieniądze, dawniejsi władcy wydawali ostemplowane kawały skór z głów tych zwierząt, których futra nagromadzone były na dworze i służyły jako środek wymienny tylko w stosunkach zagranicą. Próba udała się w zupełności, gdyż przedmioty wartości, zastąpione przez znaki skórzane, istniały w rzeczywistości i handel z zagranicą nie odgrywał wielkiej roli. Gdy zaś wskutek tego nagromadziły się w Moskwie, w „kancelaryi sybirskiej" ogromne masy futer i gdy w r. 1698 zaczął się handel z Chinami, futra całemi masami wywożono do Chin i na ich miejsce wpłynęło do Rosyi tyle produktow chińskich, że Carowa Anna z braku gotówki wypłacała w tych produktach pensye oficerom i urzędnikom. Rząd rosyjski, zachęcony, jak się zdaje, starym przykładem, dwa razy potem przedsięwziął próbę wycofania z obiegu i nagromadzenia u siebie wszystkich pieniędzy srebrnych i na ich miejsce usiłował puścić w obieg miedziane znaki pieniężne; za każdym razem jednak kredyt i handel doznały silnego wstrząśnienia. Rosya bowiem nie była zamkniętem w sobie państwem, któreby mogło się zadowolić pieniędzmi wewnętrznymi symbolicznego rodzaju.

(D. n.).

A. Warski.



LITERATURA FRANCUSKA.

Idealizm Zoli.

Biedną, osiemnastoletnią robotnicę wypędził z domu robotnik-brutal, który z nią żyje; wypędził w przystępie pijackiej buty, powiedział, że mą jej dosyć i bezwstydnie pognębił ją, aby pijakom-kolegom pokazać, jak to się traktuje kobiety; wypędził na chłód, na bruk, na noc i na głód, bo to była pierwsza pijatyka, pierwsza wypłata po długiem bezrobociu, zakończonem prawie zupełnem niepowodzeniem... Gdzieś przy drodze upadła zemdlona; sześcioletni jej braciszek pobiegł tymczasem do miasta, ukradł dla niej bochenek chleba, o mało przy tem nie dostał się do kozy za tę zbrodnię, lecz uwolniony dzięki dobroci piekarki, przynosi swą zdobycz, a zastawszy siostrę nieprzytomną, lamentuje... Widział to wszystko inżenier Łukasz Froment, bohater najnowszej powieści Zoli p. t. „Praca"; zdjęty współczuciem, poszedł za malcem, cuci Josinę... To biedactwo rwie się do chleba; zgłodniałe, chciałoby pożerać, zziębnięte, dławione łkaniem, przełykać nie

może. Łukasz klęka w kłopocie, łamie jej chleb na małe kawałeczki i do ust podaje, i karmi, jak dziecko; a ta poniewierana, przejęta do głębi dobrocią, z którą się pierwszy raz w życiu spotkała, łzami upokorzenia i rozrzewnienia zarazem kęs każdy oblewa..

Nie bywa tak w życiu, nie bywa. Ale czyż to nie „ewangeliczne“ prawdziwie?

Po piekielnej epopei Rougon-Macquartów, po czyśćcu „Trzech miast“ — Lourdes, Rzymu, Paryża — gdzie wśród starych nieprawości świtać zaczynają błyski idei odradzającej, Zola kończy, jak wiadomo, potężną trylogię swego życia literackiego, zamyka swą tragedyę ludzką — czterema „Ewangeliami.“ Niesłusznie ktoś zwrot ten przypisał wpływowi sprawy Dreyfusa, która zrobić miała dopiero z Zoli reformatora, idealistę i pedagoga społecznego. „Idealistyczne“ plany literackie wielkiego naturalisty są znacznie dawniejsze. Już przed siedmiu czy ośmiu laty, zapytywany przez Hureta, który prowadził ankietę literacką, Zola, wyrażając się dość ironicznie o „młodych,“ wyrzekających na brudy naturalizmu i szukających dróg do ideału, w poczuciu swej siły powiedział: Niech poczekają: ja zrobię sam to, czego oni chcą, ale jak zrobić, nie wiedzą. — Dziś młodzi i najmłodsi, o ile nie poszli zupełnie w służbę dogmatu kościelnego i politycznego, schylają znowu głowy przed mistrzem.

Zresztą, kto bez uprzedzenia czytał dawniejsze, czarne i krwawe malowidła zgangrenowanego świata, które wychodziły z pod pióra Zoli, mógł już wtedy z łatwością dostrzedz i pozytywną stronę jego ducha, umiłowany przez niego ideał równowagi fizycznej i duchowej, zdrowia i prostoty, siły a dobroci, świadomości i wszechmiłości, pracy wraz z użyciem, bogactwa przy sprawiedliwości. Zola, ten wielki samouk, który nawet gimnazyum nie skończył, dopiero teraz, podczas swego dobrowolnego wygnania w Anglii, jak się sam w liście do Jauresa przyznaje, przeczytał dzieła Fouriera, pożyczone mu przez jednego z przyjaciół, Fouriera, którego myśl przewodnia przyświeca Łukaszowi Fromentowi w pracy nad odrodzeniem miasta fabrycznego Beaudair z jego „Piekłem“ — jak trafnie spolszczono symboliczną nazwę wielkiej odlewni stali — l'Abîme. Nie badał też Zola furyeryzmu ani krytycznie, ani historycznie: dość zaznaczyć ten zabawny szczegół, że nazywa on dziada któregoś ze swych bohaterów „jednym z pierwszych zwolenników saintsimonizmu i furyeryzmu zarazem,“ sekt, które w rzeczywistości ostro się zwalczały; przyjął system ten poprostu, jak objawienie, jako sformułowanie swych oddawna odczuwanych pragnień. Przygotowanie do przyjęcia tego systemu, pokrewny ideał i pokrewną dążność krytyczną zaczerpnął widocznie z otaczającej atmosfery wolnomyślno - republikańskiej, wśród której zawsze przebywał.

W pierwszej seryi swych powieści Zola kładł wprawdzie główny nacisk na nędzę i ohydę tego, co jest; ale optymistą, pełnym wiary w przyszłość ludzkości, był zawsze; Nordau, przypisując mu chorobliwy pesymizm, zrozumiał go i ocenił bardzo płytko. W „Czterech ewangeliach“ punkt ciężkości jest przesunięty, wzrok zwrocony ku słonecznej stronie. „Płodność“ jest świetlanym *pendant*'em głównie do „Ziemi“, „Praca“ — do „Germinala“ i „Assomoir.“ Chociaż wyszczególnić się nie dadzą ściśle te stosunki, bo powieści nowej seryi są bardziej wielostronne, mniej monograficzne od dawnych, to przecie i tu punktem wyjścia jest zawsze przedstawienie rozpaczliwego końca danego świata, choć głównem zadaniem — pokazanie w blaskach pokojowej tęczy nowego świata, co na gruzach powstaje dzięki „ludziom dobrej woli“

Ta pierwsza część zadania jest też wykonana mistrzowską, wprawną ręką. Co za zjawiska, co za typy, od szczytu po podnóża drabiny społecznej! Stary paralityk, pan Hieronim: dziad jego był prostym kowalem, ojciec — już wybitnym przemysłowcem, a on — potężnym feodałem kapitalistycznym; lecz syn jego, okradziony z pieniędzy i z kochanki przez własnego syna, odbiera sobie życie, wnuk i inny syn giną marnie, córka umiera w klasztorze, stalownia stoi nad brzegiem ruiny. Ratuje go inżenier Delaveau, typ człowieka bezwzględnej pracy i walki, jacy się często zdarzają w służbie kapitału. Lecz owoce jego wytrwałości i pracy niszczy białymi ząbkami własna jego żona, Fernanda; kochanek jej, Boisgelin, mąż ostatniej wnuczki pana Hieronima, typ znowu mieszczucha — wielkiego pana, ograniczony, do pracy niezdolny, robi wszystko, co przepyszna samica każe. Wkoło nich grupuje się śmietanka towarzystwa mieszczańskiego: mer Gourier, także przemysłowiec, sprytny oportunista; jego żona, pobożna Leonora, i jej przez męża uznany kochanek, podprefekt Châtelard, zbiazowany sceptyk z paryskiego bruku, umiejący przetrwać wszystkie zmiany wiatru w sferach rządowych dzięki stałej zasadzie: *pas de zèle*; para tłustych rentyerów, państwo Mazelle: mąż pielęgnujący fikcyjną chorobę swej żony, jak zbytkowną roślinę egzotyczną; sędzia Goume, trawiony zwątpieniami i osobistemi nieszczęściami, lecz tem surowszy i skrupulatniejszy w stosowaniu kodeksu; jego zięć, głupi a fanatyczny żołdak Jollivet, z anielsko wyglądającą żoną, która go oszukuje z cyrkowymi siłaczami; poczciwy ksiądz Maule, który te wszystkie damy spowiada i rozgrzesza. Trzeba widzieć, jak się to wszystko oburza na wspólne wychowanie dziewcząt i chłopców, które Łukasz zaprowadził w swej kolonii!

Niżej — drobne mieszczaństwo, sklepikarze. Zola był zawsze znakomitym malarzem i psychologiem drobnego mieszczaństwa, jego cech, sympatyę wzbudzających, i głównie — nieludzkich, wypływających z zaciętej walki o byt i — zacieśnienia widnokręgu. Wspaniały jest rzeźnik, z niewypowiedzianą pogardą patrzący na biedotę, którejby się chciało na kredyt jeść „święte“ mięso, własność tych, co mają na nie; trafnie uchwycony szynkarz-jezuita, który namawia robotników do strejku bez względu na widoki powodzenia lub niepowodzenia, bo wtedy więcej przychodzą pić. Wreszcie — u dołu — tłum robotniczy, z najprzeróżniejszymi swymi typami, ale w większości przejęty głęboką czcią i uległością dla bogactwa, choć wstrząsany od czasu do czasu porywami niezadowolenia. Prawda, że typy te przeważnie nie są już nowe; Zola szczegółowo odmalował je w szeregu dawniejszych powieści, a tu nie zagłębia się w motywy psychologiczne, daje tylko gotowe rezultaty-czyny, rzuca szkicowe i zbiorowe obrazy na ekran, jak z kalejdoskopu Uderza przecie i w niektóre nowe tony. Oto np. koalicya całego tego tłumu, przedewszystkiem drobnomieszczaństwa, a potem, pod jej wpływem, i robotników, przeciw Łukaszowi, jako założycielowi kooperatywy furyerystycznej, która sklepikarzom zagraża ruiną. Wytaczają mu proces o odszkodowanie pod pozorem błahym, kłamliwym, w nadziei, że zrujnują jego przedsięwzięcie; miejscowe pismidło pomieszcza najstraszniejsze na niego napaści, inspirowane przez fanatycznego kapitana: wszystkie podpory społeczeństwa starają się wpłynąć na prezesa trybunału, aby go skazał. Gaume jednak, wierny sługa litery prawa, a przytem tknięty już powiewem sprawiedliwości i wstrętu do swego otoczenia, wydaje wyrok uniewinniający. Rozwścieczony tłum odprowadza Łukasza po ulicach, rzucając kamieniami, klnąc go i wyjąc; robotnik jakiś pluje mu w twarz... W tej tylko jednej scenie odbiły się osobiste doświadczenia Zoli ze sprawy Dreyfusa..

Łukasz w swej działalności reformatorskiej napotyka mnóstwo przeszkód, ale zwalcza je, dzięki miłości dla Josiny Jak Zola umie malować i opromieniać szlachetną, wzniosłą miłość! Sceny Łukasza z Josiną należą do najpoetyczniejszych, najbardziej chwytających za serce w literaturze. Josine jest tu zresztą symbolem ludu, co nie przeszkadza jej być wcale żywą, rzeczywistą istotą. Zola używa tu sposobu literackiego, który cechuje wiele dramatów Ibsena: dwie akcye rozwijają się obok siebie, symboliczna i rzeczywista, ale pierwsza tkwi w drugiej, ludzie są wcieleniami, nosicielami symbolów, sił społecznych. Josine, to najbardziej poniewierana, shańbiona z robotnic, żyjąca w ciągłem upokorzeniu, jako narzędzie uciechy brutala Rogu, później czczona przez wszystkich towarzyszka patryarchy Łukasza — to symbol ludu samego. Ją właśnie pokochał Łukasz, czuł, że dopóki jej nie uszczęśliwi, dzieło jego nie będzie dokonanem. Ona mu się oddała całem czystem sercem, mimo hańby, w chwili, kiedy był przez tłum ukamienowany, opluty; została matką z jego miłości. „Przez to była jego, tylko jego żoną; ojciec — to jedyny mąż; skradziona kobiecie przez innych rozkosz nie zostawia śladów,“ zazdrość co do przeszłości, poczucie nietykalnej własności względem kobiety, źródło tylu mąk dla dzisiejszych ludzi, nie istnieje dla Łukasza, budowniczego nowego świata. Josine, która musi jeszcze żyć z Rogu, aby skandalem nie zaszkodzić przedsięwzięciu całemu, w sposób chwytający za serce daje znać Łukaszowi, że on to jest ojcem. Znalazła chwilkę, kiedy nie patrzono na nią: „położyła obie ręce na swem błogosławieństwa pełnem łonie, potem, gestem dziękczynienia i miłości, dotknęła niemi warg, posłała mu w cichym pocałunku pewność jego ojcowstwa...“

Wyśmiewano Zoli przesadę w „Płodności“, faktem jest jednak, że w podstawie jego rzeczywiście przesadnych dogmatów leży głęboka tkliwość dla dzieci. Wszyscy ci zdenerwowani bogacze, wszyscy chciwi sklepikarze, kłótliwi i skąpi chłopi, zbydlęceni nędzą robotnicy, mają, jak zaznacza sam Zola, dziwnie piękne dzieci. Promienne są, wiosennie uśmiechnięte sceny między temi dziećmi: nic one nie wiedzą, a później i nie chcą wiedzieć, o walkach na życie i śmierć, gwałtownych i podstępnych, które toczą się między ich rodzicami; symbolicznie znowu przedzierają się przez mur, oddzielający dumny park Delaveau od wspólnych ogrodów kolonii współdzielczej. Łukaszowi serce się ściska na myśl, żeby te dzieci miały, żyjąc w takich warunkach, wyrosnąć na istoty, podobne do swych rodziców. Przez nie, dla nich musi być świat odkupiony. I w przyszłości łączą węzły miłości, zadzierzgnięte jeszcze w dzieciństwie, wszystkie walczące z sobą rody i klasy w jedną szczęśliwą, ewangeliczną rodzinę.

Dzieci wchodzą szczęśliwie do ziemi obiecanej; ale z dorosłych, z tych, co brali czynny udział w brudach i krzywdach, i z tych nawet, co byli ofiarami niewoli egipskiej, wiele nie może się przystosować do nowego świata. Delaveau i Fernanda giną w symbolicznej katastrofie; ona, rozwścieczona grożącą ruiną, rzuca mu w twarz, jak obelgę, wyznanie swej zdrady, on podpala dom, aby zabić ją i siebie. Inni próbują zżyć się z ustrojem współdzielczym — nadaremnie. Boisgelin, wieczny próżniak i pasorzyt, dostaje obłąkania na tym punkcie, że cała ludność pracuje dla niego, a on nie ma komu powierzyć zarządu swego majątku, i wiesza się w dawnym własnym parku, w noc majową, gdy wkoło słychać szmer pocałunków szczęśliwych

par, jak „szmer rozkwitających pączków.“ Opuszczona świątynia przywala swymi gruzami wiernego jej kapłana... Pogodzony z nim wreszcie przy końcu życia nauczyciel-jakobin, wierzący jedynie w koszarowe ujednostajnienie wszystkich obywateli, umiera samotny, ze wstrętem dla systemu wychowawczego, w którym swobodnie i pożytecznie rozwijają się wszelkie instynkty. Tępych rentyerów zabija powoli strach i zdumienie, że renta ma być zniesiona! Rzeźnik - arystokrata raczej woli odciąć sobie rękę i umrzeć na zakażenie krwi, niż, śladem elastyczniejszych kolegów, przystąpić do kooperatywy na zasadach równości. I typ starego robotnika, który z dziada-pradziada służył uczciwie przy wielkim piecu i czcił hierarchię społeczną, nie może przeżyć zastąpienia wielkich pieców elektrycznością i ciężkiej, niewolniczej pracy — swobodną, cywilizowaną. Wszystkie te rzeczy mają w sobie dużo symbolicznej grozy. A jak dramatyczny i wymowny jest cały powrót Rogu, dawnego krzywdziciela Josiny. Podniecony przez Fernandę, rzucił się on kiedyś z nożem na Łukasza, lecz właśnie krew ta, przelana w ofierze za miłość i dobroć, zapewniła trwałe powodzenie dziełu Łukasza i szczęściu jego osobistemu. Po dziesiątkach lat powraca tułacz-morderca; przyjmują go z otwartemi rękami, trafił na ucztę świąteczną wiosenną, podczas której wszyscy się bratają. Widok takiej dobroci i szczęścia rozbraja go, uniemożliwia wykonanie nowej zbrodni, z której zamiarem przybył, lecz zostać nie może, nie może dzielić tego szczęścia, idzie na dalszą tułaczkę...

Jednak sprytny przemysłowiec Gourier przystosowuje się, zamienia swoją fabrykę na kooperatywę; mieszczaństwo, chce przez to powiedzieć Zola, nie jest bezwzględnie oporne na nowe prądy. Sceptyk-podprefekt czuje się doskonale, namawia swych przyjaciół do kapitulacyi. Wielki przewrót zachodzi w duszy sędziego Gaume'a; z dniem zamknięcia sądu i więzienia, on, którego zawsze torturowała myśl, że człowiek może sądzić człowieka, czuje się wyzwolonym, umiera w pokoju, a przed śmiercią prosi publicznie o przebaczenie kłusownika, którego niegdyś surowo skazał... Najpotężniejszą jednak w całej powieści jest scena, gdy stary paralityk, pan Hieronim, który patrzył na stopniowy tragiczny upadek swego pokolenia, odzyskuje przed śmiercią mowę i korzystając z tego, rozkazuje wnukowi swemu, ostatniemu spadkobiercy, ażeby cały zatruty i trujący majątek, nie własną pracą zdobyty, oddał ogółowi, zamienił zbytkowny park na własność wszystkich dzieci, bo to jedyny sposób odrodzenia się, wyzwolenia od ciążącego fatum. Mimowoli nasuwa się porównanie między tem *Redde quod debes* a ostatnim aktem „Ponad siły“ Björnstjorne-Björnsona. Tam także kapitalista sparaliżowany, przywalony nieszczęściem, ale pomimo to do końca zachowuje swą zimną, niewzruszoną władzę zrujnowawszy nadzieje wszystkich jej przeciwników. W tem porównaniu najlepiej się uwydatnia cała przepaść między humanistycznym optymizmem „naturalisty“ a fatalistycznym pesymizmem „idealisty,“ symbolisty. Ten optymizm Zoli wykwita w końcu w biblijnej scenie pogodnego pożegnania przed śmiercią dwóch sprawiedliwych, sytych lat i zasług, Łukasza i Jordana. Dokonali dzieła, odchodzą z uśmiechem na ustach; i śmierć w tem nowem społeczeństwie nie jest nic strasznego. Jordan — to nowy typ uczonego u Zoli, świadczący o rozwoju jego pojęć w ciągu ostatnich lat kilku. Wielki chemik z „Paryża,“ zamknięty w swej pracowni, patrzy obojętnie na bóle i konwulsye ludzkości współczesnej, aż jego uczeń, przez reakcyę, chce z wiedzy zrobić narzędzie zniszczenia. Jordan pracuje świadomie celem ulżenia ludziom w pracy stworzenia technicznych warunków produkcyi uspołecznionej. To też podczas świąt swoich pracownicy-obywatele Crécherie wieńczą girlandami róż maszyny elektryczne, sprawczynie ich szczęścia.

Naiwność— mówi wielu, przyznając nowej seryi powieści Zoli wartość artystyczną znacznie mniejszą, niż dawnym. Pochodzi to poprostu stąd, że ludzie współcześni, dzięki warunkom, w których żyją, są daleko wrażliwsi na obrazy cierpienia: czy to sił i organów złego, sprawiających cierpienie, czy choćby nawet posłanników dobra, bohaterów, ale zawsze cierpiących i zadających ciosy. Kto, jak Zola, bierze za punkt wyjścia ludzkie, dobre, słodkie popędy, drzemiące przecie w naszych duszach, i za pomocą fikcyi artystycznej—bo inaczej naturalnie nie może — każe im się rozwijać pokojowo, ten łatwo się narazi na zarzut naiwności i słodkawości. Ale trzeba tę kategoryę utworów Zoli porównywać z utworami, malującymi też pogodne i dodatnie strony życia i ducha—wtedy uwydatni się ich artyzm. Naiwność Zoli — to naiwność wielkich reformatorów-utopistów; jak oni, chce tak samo pokazać ludziom, jakby to było, gdyby zechcieli tylko być dobrymi i miłości pełnymi. Siłą i głębią uczucia dorównywa im, lecz góruje nad nimi artyzmem liryka, epika i dramaturga, co mu też zapewnia zwiększony wpływ na umysły.

K. Radosławski.

LITERATURA WŁOSKA.

Boito: *Nerone*, tragedya w 5 aktach.—
Butti: *Lucifero*.

Najnowszym „wypadkiem“ literackim we Włoszech jest „Nerone“ Arriga Boita. Ogół nie tak może zainteresowany jest dziełem, co postacią samego autora, jedną z najsympatyczniejszych we współczesnym świecie literacko-artystycznym Boito jest jednocześnie poetą i muzykiem. Po raz pierwszy ukazał się na widowni publicznej w r. 1868 z „Księgą wierszy“ (*Libro dei versi*), a w kilka lat potem zwrócił powszechną uwagę słynną swą operą „Mefistofele.“ Jest to istotnie arcydzieło, które obiegło wszystkie sceny europejskie, wywołując ogólny zachwyt. Następnie upłynęło lat dwadzieścia z górą, a Boito nie dawał znaku życia, przynajmniej pod względem twórczości samodzielnej. Przerabiał tylko dramaty Szekspira i innych na libreta do muzyki Verdiego („Otello“ i „Falstaff“) Ponschiellego („Gioconda“) itd. Wiedziano przytem, iż autor jednocześnie pracuje nad wielką operą „Nerone,“ którą nareszcie wykończył. Boito wydał naprzód libreto, które jako tragedya ma niewątpliwie samodzielną wartość literacką. Autor przedstawia Nerona w sposób oryginalny. Słynny cesarz rozumianym był powszechnie, jako typ dekadenta, któremu tron pozwalał urzeczywistniać fantazye, dyktowane przez przewrotność literacką. W takiem oświetleniu był to typ bądź co bądź interesujący, a nawet imponujący wyobraźni, jako pyszny zwierz, wydzierający się z pod działania praw moralnych i rzucony ironią losu w sam środek ciżby ludzkiej. Boito natomiast gwałtownie wprowadza owego bohatera pod jarzmo niepoznanych przezeń praw, dowodząc, iż wszystkie wybryki Nerona i obłęd moralny wywołane były jedynie przez wyrzuty sumienia, po zabójstwie matki. Niewątpliwie, niektóre świadectwa historyczne, u Swetoniusza i Tacyta, pozwalały autorowi na takie tłomaczenia czynów histryona-cesarza. Czy jednak Boito nie wygórował kilku pobieżnych wzmianek, popełniając w ten sposób błąd historyczny, a głównie czy nie dopuścił się błędu artystycznego zmniejszeniem Nerona, który z zuchwałego przedstawiciela indywidualizmu, górującego nad stadem siłą swej niezwykłej, acz chorobliwej, niezależności duchowej, staje się zrozpaczonym członkiem tego stada, co najdalej Orestesem, ściganym przez furyę i wzbudzającym raczej litość, niż inne uczucia. Zaiste autor psuje nam Nerona, który pośród wszelkich ludzkich uczuć najmniej pewno dbał o litość, a jeżeli ulegał zgryzotom sumienia, to tylko w sensie pozy literackiej, którą może do takiego stopnia się chwilami przejmował, iż nie odróżniał suggestyi artystycznej od rzeczywistego stanu swej wyobraźni. A była to wyobraźnia przedewszystkiem zuchwała, skierowana ku temu, by pobudzać myśl ludzką. Upłynęło dwa tysiące blizko lat od jego zgonu, a dotychczas postać „artifexa“ na tronie stoi przed nami, jeżeli nie jako jeden ze słupów ognistych, przewodniczących ludzkości, to przynajmniej jako jeden z błędnych ogników tajemniczych i zwodnych—narówni z Manfredem—dokąd myśl ciągle się zwraca ze znakiem zapytania. Czyniąc z Nerona zwykłego Orestesa, Boito zrobił go nam zbyt zrozumiałym i zdjął zeń cały urok zagadki. Powtarzamy, jest to błąd historyczny i zarazem artystyczny, popełniony przez autora może dlatego, iż przedstawiając dwa ówczesne światy, jeden umierający i drugi rodzący się, uważa za obowiązek naśladować Sienkiewicza, oddać wbrew oczywistym swym sympatyom, pierwszeństwo temu ostatniemu. Przedstawicielem świata pogańskiego jest Szymon Czarnoksiężnik, uspakajający na żądanie Nerona cienie Agryppiny; Szymon posługuje się piękną Asteryą, przebraną za Erynnię i całym szeregiem kapłanów-oszustów, by opanować umysł strwożonego cesarza, który jednak wszystkie te łotrowstwa wreszcie odkrywa. Rodzący się zaś świat chrześciański przedstawia zgwałcona przez Nerona westalka Rubria i Fanuel, który nawrócił nieszczęśliwą na drogę wiary i cnoty. Para ta związana jest miłością idealną, gdy Asterya i Neron — cielesną. Otóż świat pogański przedstawiony jest bardzo żywo i realnie, gdy chrześciański, pomimo wszystkich wysiłków autora, by go idealizować, jest sztuczny i nienaturalny. Są to chrześcianie z opery, zupełnie jak w „Thaïs“ Massenetа.

Prześladowania chrześcian, pożar Rzymu, nie mogą zagłuszyć w Neronie zgryzot sumienia; odnajduje on swe tortury wewnętrzne we wszystkich okropnościach, które popełnia dla ich zgnieccenia. A gdy dla rozrywki gra „Orestię,“ zapomina naraz tekstu i gra własną swą tragedyę. Widmo Agryppiny staje przed nim, Neron się boi, zrzuca winę na sługę swego Herkuleusa, który był wykonawcą zbrodni, podczas gdy widzowie zachwyceni grą, klaskają i rzucają kwiaty. Neron coraz bardziej pogrąża się w wyobrażalny swój świat widm, strachów i przekleństw, który go otacza.

Jest to bardzo tragiczne, ale czy zgodne z historyą? Bynajmniej, Neron do końca swego życia zachował niesłychaną elastyczność umysłu, a bynajmniej nie był ofiarą wyobrażalnych upiorów, które tylko chwilami go nawiedzały i to nie wiadomo, czy nie były raczej autosuggestyą artystyczną, niż rzeczywistą zgryzotą. Bądź co bądź, oryginalność tragedyi Boita nie ulega wątpliwości. Dotychczas nikt jeszcze Nerona w ten sposób nie zrozumiał. Nie jest to wreszcie Neron historyczny, ale autor miał prawo w ten sposób go pojąć, gdyż, jak powiada Goethe, historya jest dla poety tylko pretekstem do niezależnych od niej fikcyj wyobraźni. Ale również ten Neron jest dla czytelnika tylko pretekstem

dla obcowania z Boito; lecz pod tym względem całą wartość tragedyi ocenić będzie można wówczas dopiero, gdy wystawioną będzie przy akompaniamencie muzyki i z odpowiednim przepychem teatralnym, bez których wszystkie intencye autora nie mogą być odgadnięte. Obok myśli oryginalnej ta tragedya liryczna odznacza się wielką starannością wykonania i niesłychaną erudycyą szczegółów.

E. A. Butti jest jednym z głównych przedstawicieli odradzającego się spirytualizmu we Włoszech. Jest to pisarz młody i bardzo utalentowany; we wszystkich swych, nader już licznych dziełach, kładzie nacisk z uporem dość podejrzanym, na konieczność skruchy i pokuty za winę. Mamy tu do czynienia nie z wymiarem sprawiedliwości ludzkiej, lecz z działaniem wyższych praw moralnych i sił duchowych. Zarazem autor, jako niedoszły fizyolog, stara się uzasadnić swe twierdzenia w sposób naukowy, powołując się na majaczenia hypnotyzmu, telepatyi itp. objawów chorobliwej zabobonności wśród mas ukształconych i nieukształconych.*) Wielka szkoda, iż talent znaczny znajduje się na posługach mózgu nierozwiniętego. Niestety, toż samo powiedzieć można o talentach daleko znaczniejszych: taki np. Fogazzaro w ostatniem swem dziele: „Piccolo mondo moderno“ pogrąża się ostatecznie w niezgłębione otchłanie mistycyzmu. Czyż może być widok bardziej przykry, niż ten, który nam przedstawiają ludzie wielkiego talentu, jak Tołstoj, Sienkiewicz, Fogazzaro padający ofiarą dziecinnych strachów i nie różniący się pod tym względem niczem od pierwszej lepszej mamki lub strażaka? Są to olbrzymy uczucia, ale dlatego właśnie pod względem myśli tak dziecinni. Ich powodzenie śród mas niczego nie dowodzi, albo raczej tylko tego, iż są typami impulsywnymi, narówni z tłumem, który utrzymuje w ten sposób w jego odwiecznych zabobonach i strachach. Tymczasem ewolucya niewątpliwie prowadzi od typów impulsywnych do myślących. Ośrodki odruchów, uczucia, coraz bardziej poddawane są i poddane być muszą dyscyplinie ośrodków refleksyi i woli. Taką jest droga doboru naturalnego i społecznego i taką drogą idzie zwycięstwo w walce o byt. Otóż literatura przedstawia nam obecnie widowisko wprost odwrotne: rej tu wodzą ludzie o mózgach starych, lękliwych kobiet, jak Tołstoj lub Sienkiewicz, powodzeniem się cieszą typy sentymentalne i dziecinne, jak Maksim Gorkij, a do głosu dochodzą jednostki zupełnie impulsywne, przedstawiające rodzaj atawizmu psychologicznego, jak Przybyszewski. Wszystko to jest zabobonne, sentymentalne, krzykliwe, ma jakieś zalążki myśli, które się rozpraszają natychmiast pod działaniem odruchów i uczuć.

Powróćmy jednak do Buttiego. Rozgłos zdobył sobie pierwotną swą powieścią: L'Immorale (1894). Paolo Ermoli, człowiek wrzekomo nader inteligentny, uważa się za wyższego ponad wszelkie prawa moralne. Zabija kuzyna swego Diega Reschi, by owładnąć jego majątkiem i żoną, piękną Fulvią. Cały ten plan udało mu się wykonać doskonale, tylko Fulvia ma pewne podejrzenia, które wyznaje w nocy poślubnej. Paolo umiejętnie je rozprasza, ale skazany jest na noszenie maski i na męczarnie wewnętrzne zgryzoty, które zatruwają mu całe jego szczęście z taką trudnością zdobyte. Otóż ten wrzekomy „człowiek wyższy,“ natchniony bredzeniem nawpół zwaryowanego Nietzschego, jest sam typem impulsywnym najniższego gatunku, bo jakiż to człowiek inteligentny uciekać się będzie dziś jeszcze dla zdobycia powodzenia do takich środków pierwotnych, jak zabójstwo? Sam ten pomysł doskonale pokazuje, z jak naiwnym intelektualistą mamy w autorze do czynienia.

W większym jeszcze stopniu można toż samo powiedzieć o bohaterze dramatu „La corsa al piacere“ Aldo Rigliardim, mającym oprócz żony kilka kochanek na uboczu, pochłoniętym sprawami sądowemi i stawiającym swą kandydaturę do parlamentu. Otóż ten człowiek żelazny uwielbia jednocześnie w sposób zupełnie fantastyczny swą matkę. Gdy ona dowiedziawszy się o jego złem prowadzeniu umiera, Aldo pada na kolana i, złamany, wybucha płaczem. Nie mniej naiwnie dziecinną jest psychologia ostatniego dramatu Buttiego „Lucyfer.“ Lucyfer jest to nauczyciel gimnazyalny, którego uczniowie przezwali w ten sposób dlatego, iż był niegdyś księdzem, a potem zmieniwszy przekonania filozoficzne, zrzucił habit. Ma to być znowu okaz człowieka silnego. Wychował on swe dzieci, Irenę i Gwidona, we własnych swych zasadach, co doprowadza ich do upadku moralnego. Irena ucieka z kochankiem, a Gwidon staje się cynikiem, ale tylko chwilowo, gdyż pokochał szczerze i ożenił się z piękną dzieweczką, która przy pierwszym połogu umiera. Gwido, złamany boleścią, wyrzuca ojcu, iż nie nauczył go modlitwy i pada do nóg księdza, który się pojawia, podczas gdy Lucyfer szepcze: „kto wie?“

Taki jest dramat, wywołujący zachwyt w Rzymie katolickim, jako pogromca niewiary. Ale cóż począć z tymi ludźmi, którzy myślą nie mózgiem, lecz splotem ner[illegible]

Dr. L. Winiarski.

*) Charakterystyczna pod tym względem jest jego powieść „L'anima,“ o której w *Prawdzie* już pisaliśmy.

SPRAWY EKONOMICZNE

Z ZAGONU CHŁOPSKIEGO.

II. Kredyt długoterminowy.

(Dokończenie).

Pomimo zastrzeżenia, że osady, nieobejmujące przynajmniej 15 morgów rozległości, nie mogą korzystać z kredytu, Towarzystwo kredytowe w zasadzie nie wystąpiło przeciwko drobnemu kredytowi ziemskiemu: przeciwnie, nawet przemówiło za nim, o czem świadczy opracowany w r. 1870 projekt udzielania pożyczek na hipoteki okręgowe i osady włościańskie z procedurą bardzo uproszczoną i mało kosztowną. Projekt ten wszakże nie uzyskał zatwierdzenia władzy, głównie — jak twierdzi p. Kirszrot—z powodu nieprzychylnej opinii ówczesnego prezesa dyrekcyi głównej, generała Giecewicza, który był zdania, że ponieważ włościanie nie mogą zaciągać długów, więc nie należy ich z tego szczęśliwego położenia wyprowadzać. Pojęcie oczywiście błędne i niezgodne z istotnemi potrzebami życia. Długoletnie istnienie Towarzystwa kredytowego ziemskiego, założonego pierwotnie tylko na 28 lat, tj. na okres, w którym miały być wszystkie dobra z długów oczyszczone, dowiodło aż nadto wymownie, że długi hipoteczne istnieć muszą stale, że nie wynikają one z rozrzutności, nieumiejętnego gospodarowania itd., lecz często z działów familijnych, z potrzeby spłaty rodzeństwa. To samo się dzieje na mniejszą skalę w gospodarstwach włościańskich. Po śmierci ojca rodziny, jeżeli niema funduszów na spłacenie rodzeństwa przez jednego z członków, scheda musi uledz podziałowi. Ponieważ w większości wypadków nigdy niema gotowizny, więc gospodarstwa chłopskie drogą działów rozdrabniają się tak daleco, że nie mogą wcale wyżywić ich właścicieli. Stąd łatwy jest wniosek, że racyonalnie stworzony kredyt hipoteczny może w znacznym stopniu zapobiedz rozdrabnianiu się osad włościańskich.

Słusznie twierdzi p. Kirszrot-Prawnicki, że w obecnych warunkach nie lepszego uczynić nie można, jak tylko skorzystać z projektu, opracowanego przez Towarzystwo kredytowe ziemskie jeszcze w r. 1870. Oto są główne zasady tego projektu: Z kredytu instytucyi korzystają drobne posiadłości ziemskie, nie wyłączając osad włościańskich, zarówno powstałych z uwłaszczenia, jak i wszelkich innych. *Maximum* pożyczki stanowi suma 1,500 rb. Posiadłości ziemskie, kwalifikujące się do otrzymania wyższej pożyczki, powinny mieć urządzoną hipotekę gubernialną i mogą korzystać z pożyczek Towarzystwa kredytowego ziemskiego na ogólnych zasadach. Jądrem instytucyi pożyczek na hipoteki okręgowe jest gmina. Pożyczka wówczas dopiero może być udzielona, jeżeli w gminie utworzy się stowarzyszenie, złożone przynajmniej z 30 właścicieli osad, z których każda ma urządzoną hipotekę okręgową i płaci najmniej 4 rb. podatku gruntowego. Stowarzyszenie to przyjmuje na siebie w $^{1}/_{10}$ części odpowiedzialność udziałową za wszystkie pożyczki, udzielone członkom stowarzyszenia gminnego, a z drugiej strony korzysta z prawa wybierania z własnego grona pięciu kuratorów, którzy pod przewodnictwem wójta gminy są przedstawicielami stowarzyszenia, decydują o przyjmowaniu do niego nowych członków, sprawdzają stan osady, na którą pożyczka ma być udzieloną, oceniają jej wartość, ustanawiają wysokość pożyczki i wogóle czuwają nad dobrem i bezpieczeństwem interesów stowarzyszenia gminnego tudzież całej instytucyi.

To zogniskowanie spraw kredytu w gminie ma wielkie znaczenie ekonomiczne i społeczne. W obrębie gminy stowarzyszeni, znając się nawzajem, wybornie wiedzą, kto z nich zasługuje na kredyt i w jakich granicach. Odpowiedzialność w $^{1}/_{10}$ za wszystkie pożyczki w gminie usuwa możność faworyzowania jednych kosztem innych.

Za pozostałe $^{9}/_{10}$ pożyczki ciąży odpowiedzialność wspólna na wszystkich osadach, korzystających z pożyczek, udzielonych na hipoteki okręgowe. Każdy, kto pragnie przystąpić do stowarzyszenia gminnego, powinien przedewszystkiem założyć dla swojej osady hipoteczną księgę okręgową z dokładnem określeniem w niej granic i przestrzeni na zasadzie planu geometry i regestru pomiarowego. Dla uniknienia kosztów taksacyi pożyczka udziela się nie na zasadzie szczegółowego szacowania, ale w stosunku podatku płaconego. Główny więc podatek gruntowy, z doliczeniem do niego 50%, pomnożony przez 5, uważa się za czysty dochód osady, lecz znowu pomnożony przez 16, czyli innemi słowy podatek gruntowy, pomnożony przez 80, wyobraża normalny szacunek osady. Jest to ta sama zasada szacowania ziemi, jaka na mocy prawa z r. 1869 przyjęta była dla dóbr stowarzyszonych w Towarzystwie kredytowem ziemskiem. W stosunku do ustanowionego powyżej szacunku normalnego pożyczki dzielą się w następującej wysokości: *a)* Osada z zabudowaniami, odpowiadającemi potrzebom gospodarstwa, jeżeli ma ustalone granice i nie jest przedzielona obcą własnością, może otrzymać pożyczkę do połowy szacunku normalnego. *b)* Osada z takiemiż zabudowaniami, mająca ustalone granice, ale przedzielona obcą własnością, może otrzymać pożyczkę tylko do $^{1}/_{4}$ części szacunku normalnego.

Pustkowia niezabudowane i osady, na

których nie jest prowadzone żadne gospodarstwo wiejskie, chociażby na nich znajdowały się zabudowania, nie mogą wcale korzystać z pożyczek; tak samo osady, niezawierające sześciu morgów rozległości.

Najniższa pożyczka wynosi 100 rb. Jeżeli na zasadzie normalnego szacunku kredyt może być udzielony wyżej 100 rb., lecz niżej 200, to pożyczka udziela się tylko w sumie 100 rb., a po upływie trzech lat, jeżeli przez ten czas raty regularnie były opłacane, może być udzielona nowa pożyczka w sumie 100 rb. Wyższe pożyczki, zaczynając od 250 rb., mogą być wydawane po 300, 350, 400, 450 i tak dalej z pominięciem zawsze niepełnych 5-ciu rubli.

Ze względu na bardzo nizki stopień zamożności klienteli tego rodzaju, w projekcie podano wyjątkowe środki zabezpieczenia kredytu udzielanego. Oprócz ogólnej odpowiedzialności wszystkich dłużników i w $^1/_{10}$ za pożyczki, udzielone w obrębie gminy, do stowarzyszenia gminnego, a więc i do otrzymania pożyczki może być dopuszczony tylko ten, kto złożył w gotowiznie sumę potrzebną na pokrycie kosztów hipotecznego zabezpieczenia pożyczki tudzież na wytworzenie funduszów rezerwowego i zapasowego. Niezależnie od tego cała procedura hipoteczna zabezpieczenia jest najeżona ostrożnościami i formalnościami niesłychanemi. Ponieważ hipoteka okręgowa umieszcza się przy sądach pokoju, przeważnie w lichych domach, rozrzuconych po mieścinach prowincyonalnych, a więc nie jest dostatecznie zabezpieczona od pożaru, projekt tedy żąda nadto ustanowienia dodatkowych jeszcze ksiąg hipotecznych przy sądach okręgowych. Służyć one mają nie dla pojedyńczych osad, lecz dla całej gminy.

Jest jeszcze jedna formalność, na wzór hipoteki greckiej. Przed udzieleniem pożyczki ogłasza się na miejscu, w obecności wójta gminy i dwu sąsiadów, że na daną osadę udzielono pożyczki w sumie wyszczególnionej, od której przez wymienioną liczbę lat należy opłacać raty półroczne. Nadto, na głównym budynku osady umieszcza się tablica blaszana z napisem o pożyczce, ciążącej na osadzie.

Nie dość tych wszystkich środków! Projekt zaleca jeszcze wytworzenie dostatecznych funduszów rezerwowych i zapasowych, z następujących źródeł: Na wytworzenie funduszu rezerwowego każdy przystępujący do stowarzyszenia gminnego powinien złożyć z góry dwie raty, czyli 6% pożyczki, którą ma zaciągnąć. Bez wypełnienia tego warunku nie może być przyjętym do stowarzyszenia. Fundusz ten zabezpiecza następujące wypłaty: *a*) raty należne od pożyczki wydanej osadzie; *b*) należności, które przypadać mogą z tytułu poręczenia danego w $^1/_{10}$ za wszystkie osady gminne; c) należności, które przypadać mogą z tytułu poręczenia, danego w $^2/_{10}$ za wszystkie osady włościańskie w kraju, korzystające z kredytu instytucyi, o ile kapitał zapasowy okaże się niewystarczającym na pokrycie strat, wynikłych z tego tytułu.

Fundusz rezerwowy stanowi własność osady, która go złożyła i przechodzi na nowonabywcę razem z tytułem nabycia osady; po umorzeniu pożyczki zwraca się właścicielowi osady wraz z narosłym procentem, o ile nie był wyczerpany przez straty, na których pokrycie jest przeznaczony.

Na wytworzenie funduszu zapasowego każdy przystępujący do stowarzyszenia powinien złożyć 1% żądanej pożyczki. Do sumy tej przyrastają wpływy z kar i innych źródeł. Fundusz ten nie stanowi już własności osady, której nigdy zwrócony nie będzie, ale staje się ogólną własnością instytucyi i przeznaczony jest na pokrycie $^2/_{10}$ strat, jakie mogą być poniesione na pożyczkach, udzielonych na ogół hipotek okręgowych. Za raty zaległe od pożyczek dłużnik płaci karę jednorazową w stosunku 1% od sumy ratowej, a nadto procentu w stosunku [illegible] miesięcznie od dnia uchylenia do czasu zapłaty. Jeżeli po upływie trzech miesięcy zaległość nie będzie zaspokojona, to wójt gminy przy współudziale kuratorów stowarzyszenia gminnego stosuje następujące środki egzekucyjne: 1) Naprzód sprzedaje się zapas zboża z wyłączeniem ilości, koniecznej do zasiewu i wyżywienia rodziny na cały czas aż do następnego zbioru, tudzież inwentarz żywy, z wyłączeniem roboczego. 2) Jeżeli to nie wystarcza na zaspokojenie zaległości, wystawia się na sprzedaż w kancelaryi wójta gminy majątek nieruchomy z zastosowaniem przepisów bardzo uproszczonej procedury.

Projekt powyższy w znacznej mierze jest dobry, z wyjątkiem tych wszystkich zastrzeżeń, które uczynić mogą kredyt bardzo drogim. Doświadczenie wykazało, że tego rodzaju formalistyka bardzo zgubnie wpływa zarówno na interesy instytucyi kredytowej, jak i na jej klientelę. Otóż po wprowadzeniu pewnych zmian i złagodzeniu rygoru, projektowana ustawa bardzo by odpowiadała potrzebom naszego ludu, których zaspokojenie za pomocą wprowadzenia w życie projektu powinno być zadaniem Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Są atoli przeszkody, które p. Kirszrot przewiduje w ten sposób: „Z wieloletniego doświadczenia wiadomo, że oddanie interesów stanu włościańskiego pod opiekę przedstawicieli większej własności ziemskiej nie leży w zamiarach rządu; projekt zatem instytucyi długoterminowego kredytu włościańskiego z taką organizacyą zarządu, jaka jest przez władze towarzystwa proponowana, nie może liczyć na prędkie urzeczywistnienie.“

Pomimo takich zapatrywań p. Kirszrota, Towarzystwo, zdaniem naszem, powinno rozpocząć zabiegi odpowiednie w tej mierze; gdyby zaś spełzły one na niczem, wtedy należałoby się wziąć do innej organizacyi, proponowanej przez p. Kirszrota. Większej własności ziemskiej dostarczają kredytu instytucye dwojakiego rodzaju: jedne oparte na wzajemności, drugie — na zasadzie akcyjnej. Tymczasem do potrzeb kredytu włościańskiego ani jedne, ani drugie nie dadzą się zastosować. Potrzeba tu bowiem nietylko znacznych zasobów materyalnych, ale wykształcenia i inteligencyi. Tego wszystkiego chłop nie posiada nawet w krajach o wyższej kulturze; a cóż dopiero mówić o naszym ludzie?!

Otóż p. Kirszrot, nie widząc możności utworzenia instytucyi długoterminowego kredytu ziemskiego ani na zasadzie wzajemności, ani akcyjnej, proponuje połączenie obu tych zasad, wyciągnięcie z jednej i z drugiej stron dodatnich z pominięciem ujemnych i powołanie do życia instytucyi akcyjno-wzajemnej, której wzory można już znaleźć gdzieindziej.

Instytucya taka powstać może z inicyatywy prywatnej, przy pomocy kapitału akcyjnego. Ponieważ jednak kapitalista często nie poprzestaje na zysku, ale ucieka się do wyzysku, więc trzeba stworzyć pewne hamulce, krępujące rozmiary dywidendy, tj. określić z góry jej wysokość w ustawie. Przykład takiego ograniczenia mamy już w Towarzystwie ubezpieczeń „Przezorność.“ (Sami założyciele oznaczyli wysokość dywidendy 6% od kapitału akcyjnego).

P. Kirszrot-Prawnicki przewiduje rozwój instytucyi proponowanej w formach następujących: „Z biegiem czasu żywioł akcyjny coraz bardziej słabnąć będzie, a natomiast wzmacniać się zacznie żywioł wzajemności, część bowiem corocznych zysków przeznaczać się będzie z jednej strony na wytworzenie silnego kapitału zapasowego, a z drugiej na amortyzacyę akcyj, po których zupełnem wykupieniu Towarzystwo stanie się kompletnie wzajemnem, bez żadnej domieszki akcyonaryuszów. Przez ten czas i delegaci stowarzyszeń gminnych, biorąc udział naprzód w zebraniach ogólnych, a następnie w zasadzie zapoznają się z machiną administracyjną instytucyi i po zamortyzowaniu całego kapitału akcyjnego będą już dostatecznie przygotowani do dźwigania na swych barkach całego ciężaru administracyjnego. Instytucya posiadać już wówczas będzie nietylko zasób sił materyalnych w kapitale zapasowym, ale i zasób sił intelektualnych we własnych członkach.“

Projekt p. Kirszrota-Prawnickiego tem większe może mieć widoki urzeczywistnienia, że już w praktyce znane są tego rodzaju połączenia form, np. petersburskie Towarzystwo wzajemnego kredytu ziemskiego, które było na wzajemności oparte, powstało jednak przy pomocy kapitału akcyjnego w sumie miliona rubli.

Bądź co bądź, sprawa organizacyi kredytu ziemskiego długoterminowego dla włościan naszych jest bardzo ważną potrzebą ekonomiczną kraju, której zaspokojenie powinno być obowiązkiem społeczeństwa. Przedewszystkiem pożądane jest, ażeby Towarzystwo kredytowe ziemskie, wydobywszy z pyłu swój projekt zapomniany i przerobiwszy go w niektórych szczegółach, rozwinęło zabiegi około urzeczywistnienia jego. Następnie, jeżeli się to nie da przeprowadzić, niech nasi kapitaliści, finansiści oraz rzeczoznawcy doświadczeni w sprawach tworzenia różnych instytucyj, porozumią się w swojem ognisku, Towarzystwie przemysłu i handlu i stworzą Towarzystwo wzajemno-akcyjne. Udział inicyatora powinien być ważnym warunkiem w tej pracy zbiorowej. Jeżeli się znalazły fundusze na gmach Towarzystwa sztuk pięknych i Filharmonii, dlaczegóżby nie mogły się znaleźć na Towarzystwo kredytu długoterminowego dla włościan, zwłaszcza że byłaby to instytucya finansowa, przynosząca zyski pomimo ograniczenia wysokości dywidendy.

Zen. Piet.

KRONIKA

Wiadomości społeczne. Ogłoszony został rozkaz Najwyższy o oddawaniu gruntów skarbowych na Syberyi na użytek osób prywatnych.

— Ministeryum skarbu zatwierdziło ustawy Towarzystw oszczędnościowo-pożyczkowych w Nowomińsku i Kleczewie.

— Liczba Polaków stale mieszkających w Niemczech, po za granicami ziem polskich, wynosi z górą 300,000. W Berlinie mieszka ich około 70,000, w Westfalii 150,000, na zachodzie Niemiec około 150,000, w Nadrenii 50,000. Niektóre miejscowości mają blizko 20% ludności polskiej.

— W prowincyach nadbałtyckich na zasadzie pozwolenia z r. 1893 wolno było tworzyć t. zw. kółka w celu nauczania dzieci obcych poddanych: językiem wykładowym był niemiecki. Obecnie minister zabronił nauki w kółkach z tej racyi, że nadużywano odnośnych przepisów przez przyjmowanie do nich dzieci poddanych rosyjskich.

— Inż. Bogucki, właściciel fabryki w Żywcu, w Galicyi, zaproponował robotnikom założenie fabryki udziałowej. Zobowiązał się dostarczyć im maszyn, materyału do wyrobu sukna i odpowiedniego kapitału. Zyskami mają się dzielić robotnicy odpowiednio do udziałów. Inicyator sobie zastrzega 5% od dostarczonego kapitału. (*Kur. codz.*)

Szkoły. W Częstoniewie, pod Grójcem, powstaje specyalna szkoła rolnicza dla Żydów. Do szkoły przyjmowani być mają kandydaci w wieku lat 14, którzy otrzymywać będą bezpłatnie mieszkanie, odzież i żywność.

Nowości donoszą, że ministeryum oświaty zamierza w końcu r. b. zwołać specyalną komisyę w

celu rozpatrzenia kwestyi wykształcenia fachowego kobiet w Rosyi.

Język receptowy. Ministeryum oświaty przedstawiło niedawno, jak donoszą pisma petersburskie, uniwersytetom rosyjskim do rozpatrzenia kwestyę zastąpienia w receptach lekarskich języka łacińskiego rosyjskim. Rady uniwersyteckie poruczyły rozstrzygnięcie tej sprawy swoim wydziałom lekarskim. Obecnie nadeszły już do ministeryum odpowiedzi, a wszystkie zgodnie opiewają, że zmiana języka receptowego byłaby obecnie przedwczesną i mogłaby spowodować wiele kłopotów.

Prasa. P. Marya Chełmońska otrzymała pozwolenie na wydawanie w Warszawie dwutygodnika dla młodzieży p. t *Biała biblioteka*.

— Ministeryum spraw wewnętrznych poleciło wstrzymać na trzy miesiące sprzedaż pojedynczych numerów gazety *Amurskij kraj*.

Prawa kobiet. Ministeryum oświaty zawiadomiło kuratora okręgu naukowego warszawskiego, że kobiety, które ukończyły kurs 6-iu i nawet 4-ch klas średnich naukowych żeńskich, mogą być przyjmowane na uczenice aptekarskie po złożeniu egzaminu dodatkowego z języka łacińskiego w zakresie czterech klas gimnazyów męskich. W sprawie dalszego kształcenia się takich uczenic na wydziałach farmaceutycznych uniwersytetu nastąpi później osobne rozporządzenie.

Stypendyum im. inż. Choroszewskiego, utworzone z funduszów zebranych przez przemysłowców górniczych, ma być przeznaczone dla dwóch studentów politechniki warszawskiej, pochodzenia polskiego, wyznania rzymsko-katolickiego.

Zdrowie publiczne. Rada lekarska wyjaśniła, iż dla lekarza niewłaściwą jest rzeczą starać się o uzyskanie przywileju na pewien sposób leczenia lub zapobiegania chorobie, że to nie licuje z jego powołaniem i sprzeciwia się przysiędze, składanej przy otrzymaniu dyplomu.

Banknoty. Władza wyższa postanowiła przedłużyć wymianę banknotów 100-rublowych (tęczowych) wzoru z r 1866, oraz 25, 10 i 5-rublowych z r. 1887 do d. 1 stycznia 1902 r. Kasy państwowe przyjmować je będą tylko do 31 grudnia 1901 r.

Uniwersytet judaistyczny, poświęcony studyom teologii, historyi i literatury żydowskiej, ma być otworzony w Nowym-Yorku. Wykłady prowadzone będą w językach: angielskim, niemieckim, rosyjskim i hebrajskim.

Koleje i komunikacye. Zarząd dróg Nadwiślań-[illegible] mocy rozporządzenia ministeryalnego ograniczył liczbę kobiet pracujących w biurach do 20% ogółu urzędników.

— Ministeryum komunikacyj ponowiło rozporządzenie, iż przy studyach około budowy nowych dróg żelaznych obcy poddani nie mogą pracować w charakterze inżenierów, techników i dozorców drogowych. Wyjątek robi się tylko dla monterów, jeżeli budowa mostu lub maszyn powierzona jest fabryce zagranicznej.

Przemysł i handel. Ministeryum skarbu, przekonawszy się z posiadanych danych, iż władze miejskie i ziemskie nabywają częstokroć za granicą wiele takich przedmiotów, które możnaby z powodzeniem wytwarzać na miejscu, zwróciło się do ministeryum spraw wewnętrznych z prośbą o współdziałanie w tym duchu, ażeby w interesach przemysłu krajowego i ograniczenia wywozu pieniędzy za granicę, zarządy instytucyj miejskich i społecznych dokonywały zamówień niezbędnych dla nich przedmiotów w miarę możności w obrębie Państwa. Ministeryum spraw wewnętrznych rozesłało w tym przedmiocie odpowiednie rozporządzenia okólnikowe do gubernatorów.

Zmarli. Edmund Audran, jeden z wybitniejszych kompozytorów operetkowych Francyi. Zmarł w Paryżu w 59 roku życia.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Bąkiewiczowi w Kysztymie. Pismo, o które Sz. Pan zapytuje, przestało wychodzić z powodu braku poparcia. Nie mamy podręcznika o fotografii kolorowanej w języku polskim—istnieją w językach francuskim i niemieckim. Numer 30-ty wysłaliśmy—prosimy reklamować na poczcie.

Panu Winarskiemu w Ekaterynosławiu. Pismo nasze wysyłamy Sz. Panu za opłatą pocztową, nie za markami; za taką wysyłkę poczta odpowiada i jeśli numeru nie doręczono, należy reklamować w urzędzie pocztowym.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава, 16 Августа 1901 года. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.